

TYGODNIK ILLUSTROWANY



N^o 220.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 grudnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Antoni Małecki (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Przegląd polityki zagranicznej.—Kościół pp. sakramentek w Warszawie (z drzeworytem).—Drzewa podaniowe (z dwoma drzeworytami).—Eureka, szkic szczęścia ziemskiego (dalszy ciąg).—Dawne ubiory i uzbrojenia, (dalszy ciąg).—Ibrahim Strasz (dokończenie).—Rebus.

Antoni Małecki.

Szkic biograficzno-literacki.

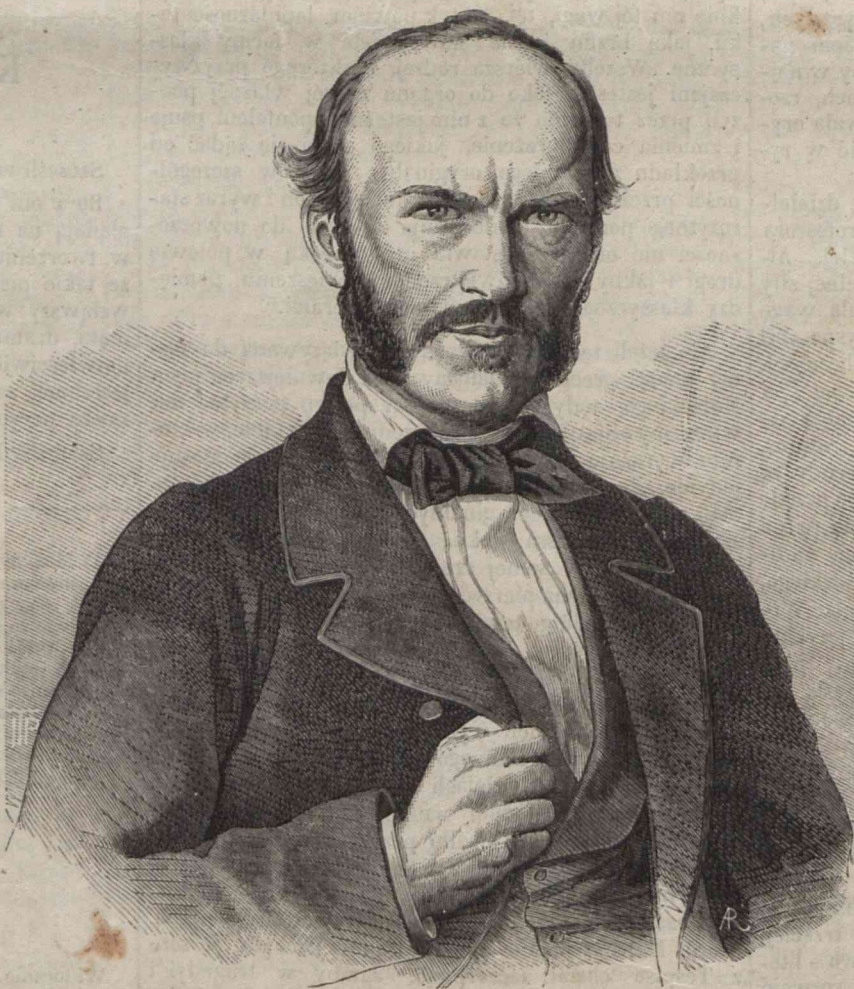
Zdanie tych, według nas, bardzo mało jest uzasadnione, którzy twierdzą, że życiorysy ludzi piszących powinny być wyłącznie nekrologami. Bezwątpienia wprawdzie pisarze należą do historii, a w historii literatury, jak w każdej innej, rzadko kiedy sądy społeczne są beznamiętne; ale jakkolwiek przywykliśmy w krytyce domagać się tej beznamiętności jako najpięrszej zalety, któż zaprzeczy, że za nią idzie także pewna bezbarwność, która w rzeczach sztuki niemniej bywa naganną, jak w rzeczach przekonania politycznego? A jeżeli już zapatrywać się będziemy na taki życiorys ze stanowiska wprost utylitarnego, czyż nie lepiej w każdym razie, iżby żyjący autor, którego w życiorysie streszczono prace i przyłożono do skali jednego ogólnego poglądu, skorzystał jeszcze, jeżeli zechce i może, nie tyle wprawdzie z cenny dzieł dawniejszych (bo tej doczytywał się już w pojedynczych artykułach o szczegółowych swoich utworach), ile raczej z ogólnego wizerunku swęj fizyognomii pisarskiej, mianowicie też z obaw czy nadziei, jakie pod względem obranego przezeń kierunku wyrobiła sobie dotąd czytająca publiczność? Samo się przez się rozumie, że podobny życiorys o tyle tylko dotykać może stosunków zewnętrznych pisarza, o ile te z wewnętrznym jego ukształceniem i literackimi płodami są bezpośrednio związane; każde bliższe prywatnego jego życia dotknięcie zakrawałoby z konieczności bądź na panegiryk, bądź na paszkwil; my zaś od zamiaru przypodobania się jednym, popisania z drugim zarówno jesteśmy dalecy.

Z rzędu poetów społecznych, którzy niezaprzeczonymi dowodami swojej zdolności wielkie dorazu obu-

dzili pomiędzy nami oczekiwania, wybieramy dziś jednego z najznakomitszych, najbardziej narodowych, *Antoniego Małeckiego*, a wybieramy go na początek szeregu naszych szkiców biograficznych o pisarzach społecznych głównie dlatego, żeby jawnie wynurzyć zdanie o swych nadziejach, dotąd jeszcze nie ze wszystkiemi ziszczonych, do których przecież spełnienia, bacząc na to co działo się do tej pory, niewątpliwie już posiadliśmy prawo. Epoka zresztą dzisiejsza, mniej

normalny, nie już zależny od pojedynczych zachcianek, ale oparty na wiekuistych prawidłach umysłowego rozwoju narodu.

Dodajemy do tego, że Małecki głównie powszechności naszej jest znany jako poeta dramatyczny i że dramat, w stosunku do innych gałęzi poetycznych, jak z jednej strony w literaturze naszej najmniej dotąd się samoistnie rozwinął, tak z drugiej strony w rozjaśniających się coraz lepiej dziejach ojczystych tak potężne znajduje żywioły i dźwignie, iż chodzą w nim głównie już tylko o uchwycenie formy, duchowi narodowemu najodpowiedniejszej, to jest nie eklektycznej z Greków, Anglików, Niemców, Francuzów, ale jednolitej i moralnie społecznej, takiej, jaką jest na swój sposób np. forma dramy hiszpańskiej, ażeby odrzuć już stanął na wysokości innych rodzajów naszej literatury poetycznej. Toć wiadomo, że jeden z największych u nas twórczych geniuszów, Juliusz Słowacki, swoje potężne poczucie dramatyczne rozstrwnił tém właśnie, że je oparł na formie Szekspirowsko-Byronowskiej; wiadomo także, iż Lope de Vega, właściwy twórca nowych torów dramatu kastylskiego, siłą talentu zdaleka nawet nie dorównywał Calderonowi, który przecież w jego wstępował ślady i na tej drodze olbrzymie zbudował arcydzieła; naturalnym więc wyda się wniosek, że nie czekając pojawienia się nowych geniuszów, których Opatrzność widocznie coraz bardziej skąpi dziewiętnastemu wiekowi, z nadziejami naszymi zwracać się godzi do znakomitych społecznych, choć mniej zapewne genialnych, miniej zwłaszcza samodzielnie twórczych poetów, ale którzy w dotychczasowych swoich utworach już nam dowiedli wysokiego przejęcia się formą, poczucia wiary i ładu, owego przytęm zmysłu przeważnie scenicznego, stanowiącego jeden z najcenniejszych, lubo pozornie wprost tylko mechanicznych pierwiastków działalności dramatycznej. Takim poetą okazał się niewątpliwie Małecki; sądziśmy więc, że bliższe określenie doniosłości jego talentu i płodów któremi dotąd literaturę ojczystą obdarzał, wypowiedzenie oraz widoków, jakie na określeniu tém opieramy, lekkie nawet (o ile na to sił naszych) dotknięcie wskazówek ku możliwemu takich widoków urzeczywistnieniu, będzie i nie bez zasługi, i na dobie.



ANTONI MAŁECKI. (Podług fotografii).

sprzyjająca szczegółowym rozbiorem, silniej nas przeku ogólnym poglądom; więcej bowiem niż kiedykolwiek wypada się z tém obliczyć co mamy, poważniejszy zapuszczać wzrok w przyszłość, bo na tych jedynie podstawach wyrosć może w literaturze stan-

Antoni Małecki urodził się 1821 roku w Obiezie-
rzu, o 3 mile od Poznania, a pierwsze nauki pobie-
rał w domu i pod okiem troskliwych o jego wycho-
wanie rodziców. Oddany następnie do gimnazjum
św. Maryi Magdaleny, w stolicy swojej prowincji, gdy
takowe z chlubą ukończył w 1840 r., udał się, z za-
miarem poświęcenia się naukom filologicznym, na wy-
dział filozoficzny do uniwersytetu Berlińskiego, gdzie
liczna w owym czasie kształciła się młodzież polska,
nie tylko z Poznańskiego, ale także z Królestwa, z Ga-
licyi, z Litwy i z Szlązka. Ruch umysłowy w tej młodzieży,
jej zapal do nauki, jej przeświadczenie o ważności duche-
wego swojego posłannictwa, rokowały najpiękniejsze na-
dzieje. Podczas kiedys studenci niemieccy, dawnym bur-
szów zwyczajem, trwonili dnie i noce na pijackich hulani-
kach i pojedynkach, młodzi Polacy, ze wzrokiem nie-
wzruszenia w świątynię nauk wlepionym, uzupełnia-
li jednostronność cudzoziemskiej wszechnicy poważnymi
studiami nad własną przeszłością, nad jej dziejami, lite-
raturą, instytucjami społecznymi. Małecki był jednym
z najgorliwiej i najgoręcej zabierających się do pracy oko-
ło literatury ojczystej, ale nie ulegając zwykłej pokusie
młodych talentów poetycznych, nie wylewał się w liryce,
nie budował planów do górnoletniej epopei lub dramatu,
a za najważniejsze swe raczej w danej chwili uzna-
wał zadanie, kształcić myśl, formę i język na wiel-
kich wzorach obcych i naszych, oraz wyciągać z nich
teorie i wnioski, któreby mu przy późniejszym posłu-
żyć mogły tworzeniu. Dlatego to Małecki, rzadkim po-
między młodymi poetami przykładem, z pierwszemi
pracami swojemi wystąpił nie wierszem, ale prozą.
W 1842 r., będąc jeszcze uczniem berlińskim, napi-
sał do *Orełownika Naukowego* rozprawę o Mickiewi-
czu.

W 1844 roku napisał Małecki swoją rozprawę i-
nauguracyjną: *De academia vetere* (o starożytniej aka-
demii), po publicznem obronieniu której pozyskał dy-
plom doktora filozofii. Czas jakiś przebywając w Po-
znaniu, otrzymał tu wkrótce posadę nauczyciela w tym
samym gimnazjum, którego był wychowawcą, a obok
tego w odczytach publicznych wykladał
swoją pogląd na cenniejszych naszych poetów, z któ-
rym występował również w *Gazecie Poznańskiej* i
w czasopiśmie p. t. Rok 1846, gdzie bliżej ocenia-
jąc, zwłaszcza *Irydyona*, wziął ztąd sposobność do roz-
pisania się raz jeszcze o warunkach, stanowiących,
jego zdaniem, podwaliny dramatu narodowego. Pomi-
nął tu jednak kształtujący się dopiero do swego zawodu
Małecki, jedną najważniejszą, bodaj czy nie jedyną
dźwignię narodowości w utworach dramatycznych,
t. j. przejęcie się poety wewnętrznym duchem na-
rodu i wieku, a przejęcie się nim takie, żeby w naj-
drobniejszych, najmniej pozornych szczegółach, rze-
czywista jego właściwość z tą samą występowała ory-
ginalnością i prawdą, jaką zachowywać umieć w ry-
sach największych.

Rok 1850 odznacza ważną i nową fazę w działal-
ności Małeckiego, powołanego na zastępcę profesora
nauk filologicznych, do wszechnicy krakowskiej. Al-
ma Mater Jagiellońska z radością powitała dzielnej siły
młodziana, który też pojmując sumiennie całą wagę
obowiązku, kurs dla swoich słuchaczy przysposobił
zarazem jako dzieło nauki dla większej publiczności.
Z tego wyrosły: *Prelekcya o filologii klasycznej i jej
encyklopedyi*, praca wprawdzie nie docięgnięta do
końca, ale usprawiedliwiająca w zupełności rozgłos,
jaki poprzedził do Krakowa głęboką jego erudycją
w rzeczach literatury starożytnej. Zamiłowanie przed-
miotu, serdeczne jemu oddanie się, maluje się tu na
każdej stronie. W przedmowie, zapatrując się na fi-
lologię ze stanowiska ogólnego ukształcenia ludzkiego,
zwyczajko zbijał paradoksalne zarzuty Michała Wi-
szniewskiego, przeciw gruntownej znajomości języków
i literatur starożytnych; w dalszym też ciągu, albo
raczej w bezwzględniejszym rozwinięciu tej myśli, po-
święcił prelekcją wstępną wykazaniu stosunku i
działalności nauki filologicznej na zewnątrz, oraz roz-
biorowi umiejętności w skład jej wchodzących. Wcze-
ści pierwszej traktuje o znaczeniu filologii w ogól-
ności, o szczegółowem znaczeniu jej w szkołach; dru-
ga dopiero obejmuje i określa całą encyklopedyą tej
nauki, a więc: mytologią, starożytności greckie i rzymskie,
archeologią sztuki, dzieje literatury klasycznej
i klasyczną estetykę. Wydanie części trzeciej,
w której przeważać miała treść dziejowo-lite-
racka, na nieszczęście w samym środku rozwoju
wstrzymane, dotąd jeszcze nie pojawiło się, a może i
całkiem przez autora zostało porzucone. W każdym
razie to co znamy z tej pracy, już nam wystarcza,
żeby zrozumieć gruntowność podstaw naukowych, na
których literacką swoją działalność rozwijał, gdyby
dostatecznym jeszcze na to dowodem nie były jego
pisma poprzednie; że zaś obok tego, na chwilę ulu-
bionego dramatu z oka nie spuszczał, o tém świadczy

nie tylko rozproszone w pismach peryodycznych z téj-
epoki rozprawy, ale bardziej jeszcze przekład tragedji
Sofoklesa: *Elektry* i *Antygony*, z których atoli pierwszą
jedynie w 1854 roku wydał w Poznaniu na widok
publiczny.

Nie możemy jak tylko przyklasnąć pojmowaniu
rzeczy, wyłożonemu przez Małeckiego w przedmowie do
tego tłumaczenia; postęp też od zdań, wyrzeczonych
przed kilkoma laty w czasopiśmiech poznańskich, na-
der wydatny, a notujemy go tu głównie dlatego, że
jednocześnie prawie, bo w tymże roku, wyszedł naj-
pierwszy jego dramat oryginalny: *List Żelazny*, o któ-
rym wnet obszerniej nieco powiemy.

Otóż w przedmowie do *Elektry*, wspominając ospół-
czesnych przekładach trzech tragedji Sofoklesowskich:
Edypa króla, przez Alfonsa Wabickiego, *Antygony* i
Edypa w Kolonie, przez Kazimierza Kaszewskiego,
tłumacz, „nie zaprzecza wprawdzie tym publikacyom
zalet, które do najpożądanych należą w rzeczach tego
rodzaju, nie tai jednak, że gdyby z nich tylko miał so-
bie kto utworzyć wyobrażenie o dramaturgii klasy-
cznej, bardzo niedokładne, jeżeli nie wprost fałszy-
we, miałby o niej pojęcie. Daleko więc one zakrawają
na tłumaczenie francuskich klasycznych tragedji Cor-
neilla albo Racina, aniżeli na starożytne utwory.
Kiedy się je porównywa z oryginałem, niewiedzieć
właściwie czemu przypisać tę uderzającą w nich nie-
greckość i niestarożytność. Myśli oddane są po wię-
kszej części wiernie, obrazy naśladowane szczęśliwie,
nawet zwroty częstokroć trafnie wyrażone w prze-
kładzie. Styl jest poważny, wiersz i rym dość gład-
ki, język utrzymany na wysokości przedmiotu; — z tém
wszystkiem coś rażącego w całym wrażeniu, jakie te
przekłady wywierają na czytelniku. Choć w szczegól-
ności niema nic do nadmienienia, w całości czuje się
jednak, że duch starożytny z tych kopij uleciał, że
to nie Sofokles, choć napozór wyraża się wziętiami
z Sofoklesa myślami.“ Winę ztąd (a bezwarunkowo
z tej mierze zgadzamy się z Małeckim i niejednokrot-
nie już takież nasze przekonanie wyrażaliśmy),
kładzie tłumacz *Elektry*, na złe dobraną miarę
wiersza, jako niezdolną zastąpić owej formy
klasycznej, która w samej wiersza budowie nosi zna-
mię tak właściwe całej starożytności. „Nie tylko je-
denastozgłoskowe, mówi, ale nawet trzynastozgło-
skowy wiersz nasz zbyt mało ma powagi i sędziwo-
ści, obok spadków rytmicznych, jakimi jest oddany
dIALOG w scenicznych starożytnych utworach. Bra-
knie mu tej wagi, tej, że tak powiem, lapidarności to-
ku, jaką brzmi każde słowo ujęte w formy klas-
yczne. Wszelki wiersza rodzaj, do którego przyzw-
yczajeni jesteśmy jako do organu naszej własnej poe-
zyi, przez to samo że z nim jesteśmy spoufalerzeni, psuje
i zmienia całe wrażenie, jakiego godzi się żądać od
przekładu z greckiego oryginału. Rym w szczegól-
ności przeistacza odrazu cały koloryt, ton i wyraz sta-
rożytnego pomysłu, modernizuje to co się do nowocze-
sności nie nadaje, zostawia myśl grecką w połowie
drogi i jakby w napowietrznym zawieszeniu, pomię-
dzy klasyczności a nowożytności sferami.“

Ale jeżeli tę wysoką cenę, pzywiazaną do for-
my poezyi greckiej, znaleźmy już z dawniejszych pism
Małeckiego, tedy za rzeczywisty postęp poczytać mu
winniśmy objawione w téj przedmowie zdanie, w któ-
rém wyraźnie oświadcza, iż powyższe uwagi stosuje
jedynie do przekładów z poetów starożytnych, że
atoli w utworach oryginalnych używać wypada na-
szego tylko wiersza, toku, sposobu i kolorytu. Nic
slusniejszego w samej rzeczy, jak że, pojawszy we-
wnętrznego ducha pierwowortu, tłumacz stara się ró-
wnież uwidatnić go temi samemi środkami, jakimi to
czynił sam twórca; bo w harmonijnem dziele sztuki
treść i forma nie są bynajmniej przymiotami, któreby
bezkarnie można od siebie odłączyć. Ale widocznie
wówczas już porzucił wymagany (dawniej do zbudowa-
nia dramatu narodowego warunek, a formie poe-
matów greckich w dziełach oryginalnych dał za wy-
graną; z tém większem natomiast téj formy poczu-
ciem odtworzył ją w swoim przekładzie *Elektry*. Po-
wiemy wszelako, że nie zgodzilibyśmy się ze wszyst-
kiem na nową przemianę w dialogach miary jambicz-
nej tragików greckich, na jakąś wyrojoną trocheiczną,
której Małecki jeszcze z poprzedników Eschyla, jeszcze
z Tespisa chciał zaczerpnąć. Jamby w tragedji i
u nas już pozyskały prawo obywatelstwa; władał niemi
po mistrzowsku zwłaszcza Józef Korzeniowski, (1) a
poznaliśmy ostatnio jeszcze ich zalety i łatwą dla mowy
naszej giętkość w przekładzie Góthowskiej *Ifigenii*
Jenikego.

Kto pilnie przestudyuje *Elektrę* Małeckiego, kto
zwłaszcza wniknie zarazem w tysiączne szczegóły eru-
dycei i smaku estetycznego, zręcznie w licznych przy-

piskach rozrzucone, ten w celach przynajmniej ogól-
nego ukształcenia literackiego, dostatecznie już obe-
znany będzie z duchem kompozycyi i formy Sofokle-
sa, i dlatego to pod tym ważnym nader względem je-
dna *Elektra* lepiej zastąpi wrażenie pierwowortu, jak
wszystkie razem przekłady Elisasiewicza, Smaczniń-
skiego, Bronikowskiego, Walickiego, Kaszewskiego, lu-
bo dwaj ostatni tłumacze, każdy w swoim rodzaju,
niewątpliwie także celują zaletami. Był to piękny
i szlachetny poprzednik oryginalnej tragedji, z którą
w tym samym roku 1854 Małecki po raz pierwszy
przed publicznością wystąpił.

Rzadko kiedy jaki utwór, od pierwszej zaraz chwili
swego pojawienia się, na tak różnorodne i sprzeczne,
a sprzecznością roznamietnione częstokroć natrafiał są-
dy, jak owa znana nam wszystkim tragedia: *List
Żelazny*, oparta, jak się wyraża autor, na podaniu
historycznym i bezwzględnie roszcująca sobie już pra-
wo do miana poematu narodowego. Sądy te prze-
sadnymi były w obu kierunkach; raz bowiem wy-
nosiły ten dramat pod niebiosa, jako utwór najwy-
szej wartości, to znów równały go niemal z tuzinko-
wą ramotką. Do rzędu pierwszych należy krytyka
Biblioteki Warszawskiej, (zeszyt lutowy z 1859 r.),
która w konkluzji przyznała mu zalety „dramatycz-
nego arcydzieła w europejskim znaczeniu tego wy-
razu“; na czele drugich stanął Lucyan Siemieński, który
swoje świętobliwe zgorszenie ukrył pod szatą żarto-
bliwie kłuszącej ironii; przepaść zaś dzielącą obie te
ostateczności, zapelniała niezliczone artykuły treści
poniekąd dość pstrokatę, we wszystkich czasopiśmiech
warszawskich, krakowskich, poznańskich i lwowskich,
panegiryczne, wstrzemięźliwie pochwalne, umiarko-
wanie ganiące i paszkwilowe. Sądymy że poeta,
lubo go widocznie pierwszy napad Siemieńskiego
(w *Czasie* z 1854 r.), dotknął do żywego, tak iż nie
bez goryczy odpowiedział nań we lwowskim *Dzien-
niku Literackim*, przecież wnet się oswoił z tą na-
walnicą zdań sobie przeciwnych, owszem, dostrzegł
w niej najnaturalniejszy dowód uznania wartości u-
tworu; słusznie też odtąd obronę zdał na innych,
a sam natomiast, w roku następnym, swoim *Wiencem
Grochowym* o nową czytelników i krytyków potracił
drażliwość, nad którą, zaprzeczyc nie można, że wy-
szedł znowu niemal całkiem zwycięsko. Obie te
prace bliżej nieco rozbierzemy.

(Dokoniczenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Szczęśliwi ci uczeni!...

Bo i oni piszą także, chociaż z góry zwykle po-
glądają na nas literatów z rzemiostą, twierdząc, że
w tworzeniu nie ma ani zasługi, ani wartości żadnej;
że takie pisanie tyle znaczy, ile wiatr w polu, że
wziąwszy w kupę wszystkie razem powieści, poe-
mata, dramata i inne rozmaite *ata*, należałoby niemi
najwłaściwiej napalić w piecu przy chłodnej porze
jesiennej, ażeby przy tym ogniu rozgrzał się uczony,
zajęty peryodycznymi swojemi pracami.

Szczęśliwi oni, mówię, ale nie dlatego że piszą,

(1) Musimy tu uczynić uwagę, że ś. p. Korzeniowski, lubo
mistrzostwa formy nikt pewnie mu nie zaprzeczy, używał
jednak w swych dramatach wiersza napół tylko jambicznego.
Wiadomo że stopa jambu składa się z dwóch zgłosek, pierw-
szej krótkiej, drugiej długiej (—); zgodnie więc z prozodją
naszego języka, w jambach polskich żaden wiersz zaczynać
się nie może od wyrazu dwuzgłoskowego (bo wtedy zgłoska
pierwsza byłaby długą), ale koniecznie od jedno lub trzy-
zgłoskowego. Tymczasem Korzeniowski używał takich n. p.
wierszy (Prolog do tragi-komedyi „Posąg“ Bibl. Warsz. za
czerwiec 1863 r. str. 383):

Gdy dyletanci znosić zaczynają

Głodnym aktorom, zamiast sztuki mięsa,

Stare cukierki i t. d.

Widocznie w tym przekładzie tylko pierwszy wiersz
jest dobry, dwa następne zaś błędne, bo zamiast od jambu,
(—), zaczynają się od trocheju (—), czemu, jak w tym ra-
zie, łatwo było zapobiedz prostem przełożeniem wyrazów:

Aktorom głodnym i t. d.; Cukierki stare i t. d. Podobnych
wierszy ogromne jest mnóstwo w każdym utworze znakomi-
tego pisarza; żadną więc miarą utrzymywać nie możemy z au-
torem tego życiorysu, że „władał po mistrzowsku *jambami*“,
przynajmniej tylko że pisał po mistrzowsku wiersze białe,
jedenastozgłoskowe. (Przyp. redak.)

tylko że mają co pisać. Porozumiejmy się. Już cię, zdaje się, że każdy co pisze bierze z kąś treść do pisma swojego, czy z książki, czy z natchnienia, czy z pamięci, czy z tego co mu ludzie powiedzieli, czy z tego co sam, badając naturę, wysłedzić potrafił.

Ale uczony ma zawsze przedmiot dany, jakąś książkę, notatki, coś z czego czerpać może, nie susząc sobie mózgu. Na przykład, nie uwłaczając żadnemu ze współpracowników Tygodnika, jakże zazdrośnie tym panom, co piszą artykuły historyczne. Biorą epokę, co mówię, chwilę jedną dziejową, fakt najdrobniejszy, i już mają materiału na tomy całe. Charakter, przymioty, wady, wypadki życia, stosunki, wychowanie, stan majątkowy, wszystko dla nich jest dobre i stosowne. Poszukają w starych aktach, odnajdą jakieś poślizgi dyplomata, jakie nadania nawpół już zjedzone przez mół i wyciągają z nich niebawem najciekawszą, przynajmniej dla siebie, treść.

Tymczasem biedny literat znikąd żadnej nie otrzymuje pomocy. Siedzi przed stolikiem, a przed nim kałamarz i biała ćwiartka papieru, i musi pewną część atramentu przenieść z tego kałamarza na ten papier, fundusz zaś do tego zaczerpnąć może ze swojej głowy jedynie. Co wymyśli, to twoje; staraj się tylko żebyś dobrze wymyślił. A pamiętać trzeba że talent, albo wprost tylko zdolność pisarska, to kapietał, z którego należy brać procenta, lecz umiarkowane, bo kto zbyt wiele i niestosunkowo wydaje, ten wprędce cały majątek na zgubę narazić może.

Ale fakt jeden zaczerpnięty z mojej pamięci staje naprzekór temu twierdzeniu.

Pewnego razu zszedłem przy pracy jednego z naszych badaczy historycznych. A stało się to wyjątkowym sposobem i podstępem prawie, bo pracownia jego, to *sanctum sanctorum*, w którym się zamyka, nie pozwalając nikomu przystępu.

Przy stoliku do pisania stały trzy skrzynki, każda innego kształtu i wielkości. Skrzynki te aż pod wierzch wypełnione były małymi papierkami, drobno zapisanymi, podobnymi z powierzchowności do recept doktorskich. Naturalnie że skrzynki te pełne papierków zwróciły przedewszystkiem na siebie moją uwagę i zapytałem się nieśmiało, do czego one służyć mogą.

— To jest praca całego mojego życia, odpowiadał historyk i gdyby mi kto papierki te zabrał, albo zniszczył, największąby stratę wyrządził tym nie tylko mnie, ale nauce.

— A to jakim sposobem? zapytałem z ciekawości. — Są to notatki, które robiłem podczas wszystkich moich badań i poszukiwań naukowych. Ot masz na przykład pierwszą lepszą kartkę. Czy widzisz u góry zapisane imię i nazwisko? Jest to osoba jakkolwiek nie historyczna, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, ale zawsze znacząca coś w ogólnym szeregu dziejów. Wszystko co wiem o tym człowieku wypisałem na tej karteczce. Są to tylko, jak widzisz, fakta i daty. Gdy mi nowy jaki fakt wpadnie pod rękę, notuję go pod innymi. Z czasem tworzy się całość i najwyborniejszy obraz danej postaci. Z tego układam życiorys, jeżeli osoba owa na życiorys zasługuje, jeżeli zaś nie, to przytaczam te fakta przy innym artykule; zawsze będą one ciekawe i ludzie będą mogli się z nich czegoś nauczyć. A jest to zaleta, dodał z uśmiechem, której nie posiada zwykłe to co wy piszecie.

— Ależ, rzekłem, nie myśląc wcale odpowiadać na tę przymówkę, tu nie same tylko nazwiska osób widzę wypisane.

— I dobrze widzisz, bo są tu oprócz tego nazwy miast, miejscowości różnych, wybitniejsze fakta historyczne, słowem, cała encyklopedia dziejowa, poczynając od czasów których sięgają najdawniejsze akta i dokumenta. Niewątpliwie życie całe człowieka nie starczy ażeby zużytkować należycie to wszystko; pociesza mnie jednak myśl że znajdują się tacy, którzy będą mogli ztąd czerpać po mnie, a może i sam sobie potrafię kogoś takiego przygotować.

— Ale jakżeż, zapytałem, trafiasz do ładu z tą całą swoją, jak ją nazywasz, encyklopedią? bo w tych stosach zgubić się można, a przy pracy należy mieć pod ręką to właśnie, czego nam potrzeba.

— To rzecz najłatwiejsza ze wszystkich. Tych notatek nikomu dotknąć nie wolno. Bo rzeczywiście, gdyby tu przeszła obca ręka, jużbym nie trafił do ładu. Ale sam nie potrzebuję nawet układać bardzo systematycznie, bo wiem zawsze gdzie to jest czego szukać trzeba. I wierzę mi; że zamknięty sam z moimi notatkami, przebiegając w nich, czuję się naj-

szczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. To są dla mnie skarby najdroższe i najtrwalsze. Ja włożyłem w nie całą swą energią, siłę, wytrwałość. Bo zaledwie usilna długoletnia praca starczyć może na zgromadzenie tego wszystkiego co tu widzisz przed sobą.

Zamyśliłem się....

Człowiek ów do wysokich rozmiarów wzrósł w moich oczach. Bo rzeczywiście, ileż to trudów, ile poświęcenia zużyć trzeba było, żeby ułożyć te wszystkie meteryały, które lada wypadek może zniszczyć do szczytów! Jakże się tu dziwić że Thierry, że Szajnoch wzrok utracili? Ileż to oni nocy przesłęczyli na odczytywaniu zatartych jakichś dokumentów, na które żaden z was ani spojrzećby nie chciał! A nieraz taka praca całych dni i nocy streszcza się w kilku zaledwie wyrazach, które kiedyś posłużą albo i nie posłużą może do wyświecenia mniej znanego faktu. Trzeba wielkiej odwagi, trzeba ogromnego zamilowania w raz obranym zawodzie, żeby się nie cofnąć przed trudnością zadania. Bo wy nie wiecie może, czytelnicy, co to są stare rękopisy. Nad każdą literą trzeba się zastanawiać, każdy wyraz badać, jednego domyslać się, drugi odgadnąć, a przy tym wszystkiemu mieć tyle zasobu wiadomości, żeby umieć zużytkować należycie taką żelazną pracą nabyty szczegół.

Więc cofam zdanie na początku kroniki wyrzeczone: jeżeli uczeni szczęśliwi są że mają z czego czerpać, to przygotowanie tych materyałów tyle już kosztowało ich zdrowia i siły, że pracy tej nie podobno nie zdola opłacić.

A jednakże jak niewdzięcznym jest to powołanie! Uczony najmniej użytkuje materyały ze swojego trudów, i te nieprzebrane skarby naukowe, zamienione na powszedni zysk pieniężny, bardzo nędzny dają rezultat.

Są wprawdzie kraje gdzie społeczność troszczy się o los i byt takich zasłużonych ludzi; ale u nas każdy z nich, choćby był ozdoba całego pokolenia, dla siebie i na siebie tylko pracować musi, szczęśliwy jeszcze jeżeli złośliwość zapomni o nim i dozwoli mu w pokoju użytkować duchowego owocu jego trudów.

Więc kiedy mowa o uczonych, a mianowicie o historykach, nastęcza nam się tu jedna uwaga.

Kilka już razy wspominaliśmy w sprawozdaniach naszych o wydawnictwie Encyklopedyi powszechnej. Postępuje ona ciągle, i jakkolwiek od pewnego czasu znacznie ubyło prenumeratów, nakładca jednak z chwałębną wytrwałością prowadzi dzieło do końca, nie bacząc na to, że wielkie rozmiary, jakie ono w ciągu wydawania przybrało, w dwójnasób mnożą kosztą pierwotnie oznaczone.

Wiadomo zapewne każdemu, że część historyczna Encyklopedyi, mianowicie w tém co się przeszłości naszego kraju dotyczy, oddaną była pod zarząd Julianowi Bartoszewiczowi, znanemu naszemu badaczowi dziejowemu. I trudno zaiste było lepszy uczynić wybór. Pan Bartoszewicz, poświęciwszy całe życie swoje tym uczonym badaniom, posiada nieprzebrane materyały, jemu samemu tylko przystępne i obejmujące w sobie szczegóły z najmniej nawet znajomych epok historii naszej. Nikt lepiej, sumiennie i bardziej wyczerpująco od niego nie ułoży rozlicznych monografii, tak ważną w wydawnictwie encyklopedyi grających rolę, i jeżeli na co w pracach jego zalić się można, to chyba tylko na zbyt wielką obfitość szczegółów, których mu szkoda pomijać, a które wprawdzie obecnie powiększają objętość dzieła, lecz niewątpliwie kiedyś dla przyszłych badaczy przyniosą pożytek.

Owóż dowiadujemy się z wielką przykrością, że od pewnego czasu pan Bartoszewicz nie należy już do redakcyi Encyklopedyi, i że artykuły specjalny jego dział stanowiące komu innemu zostały powierzone. Nie chcemy wiedzieć kto go zastępuje, w każdym jednak razie przekonani jesteśmy, że zastępca ów, bacząc na pożytek jakie dzieło przynieść powinno ogółowi, sam chętnie skłoniłby się do abdykowania z tej części swojej pracy, gdyby tylko pan Bartoszewicz zechciał objąć napowrót jej kierunek.

A łatwo nam przytoczyć powody konieczności tej zmiany, czyli przywrócenia dawnego trybu rzeczy.

Encyklopedia powinna obejmować w sobie cały obszar ludzkich wiadomości. Mniejsza jednak o artykuły tłumaczone lub kompilowane z dzieł zagranicznych, o takie, które, przy umiejętności obcych języków, każdy sobie, jeżeli zechce, z łatwością wyszukać może. Najważniejszym w niej działem jest to wszystko, co rzeczy naszych dotyczy i co dla nas jest uzupełnieniem, lub wcale prawie nieznanem.

Pan Bartoszewicz posiada niezmierną, większą niż ktokolwiekby obfitość materyałów, których wszyst-

kich, przy braku sposobności, przez całe swoje życie możeby nie zużył. Otóż w Encyklopedyi, chcąc nie chcąc musi on je pomieścić, przenosząc kolejno do tej książki owoce długoletnich trudów i badań swoich. Tam już nic nie zginie, wszystko znajdzie swoje miejsce, a wartość dzieła podniesie się z amieszczeniem tylu nieznanych jeszcze wiadomości. Encyklopedia nie jest jedną z tych książek, które rachować tylko mogą na chwilę obecną; całe jej powodzenie, cała jej zasługa leży w przyszłości, historia zaś stanowi w niej najważniejszą może część. Nie należy ona do tych przedmiotów, które z postępowaniem lat trzeba poprawiać, prostować, dopełniać; owszem co tam napisano, zmałym bardzo wyjątkiem, stanie się źródłem i punktem oparcia dla przyszłych pracowników. Wydawnictwa Encyklopedyi nie możemy uważać jako spekulacyę ze strony wydawcy. Pożytek ogółu był niewątpliwie pierwszym i jedynym jego bodźcem; niech więc postąpi tak, jak mu ten pożytek nakazuje; niech zaprosi napowrót do redakcyi pana Bartoszewicza, a nie wątpimy, że ten ostatni nie zechce uchylać się dłużej od zajęcia miejsca odpowiedniego jego siłom, zdolności i nauce.

A teraz przepraszamy czytelników, że musimy przemówić parę słów w sprawie Chińczyków, której dziwnym zbiegiem okoliczności przychodzi nam dzisiaj bronić. I nie czynilibyśmy tego, gdyby tu szło wyłącznie o chińskie urządzenia, chociaż i pomiędzy niemi znajduje się wiele zbawiennych ustaw, niezawsze dobrze zastosowanych, albo nawet o chińską porcelanę, jedwabie, emalie i herbatę. Ale sprawa idzie o chińską literaturę, co zupełnie zmienia postać rzeczy. Donieśliśmy już czytelnikom o wyjściu kalendara Ungra, który w tym roku bogatszym jest jeszcze w drzeworyty, aniżeli w latach poprzednich, a zawiera artykuły tychże samych mniej więcej co i zawsze autorów, boć trudno o wielkie zmiany w wyborze u nas, gdzie obecnie tak mała jest liczba piszących. Jedną z gazet tutejszych, czyniąc również wzmiankę o wyjściu tego kalendarza i oddając należną sprawiedliwość, staranności wydawcy, zarzuca jednakże autorom, że im w bieżącym roku stępiły pióra i że utwory w kalendarzu zamieszczone niewszystkie odpowiadają co do wartości nazwiskom podpisanym pod nimi. Nie chcemy rozbiierać bliżej tej kwestyi, chociaż znalazłoby się wiele do powiedzenia na stronę tych biednych potępionych autorów. Ale za cóż w tę ogólną naganę wnieoszano i powiastkę chińską, zamieszczoną w kalendarzu, która nie jest wcale utworem oryginalnym, ale tylko przekładem? Widocznie autor artykułu nie czytał jej, kiedy mówi że jest podobną do powieści o zadławionym garbusku z tysiąca nocy i jedna. Choćby nawet tak było, nie możnaby tego uważać za grzech, bo tysiąc nocy i jedna należą niezaprzeczenie do arcydzieł fantazyi wschodniej, i jakkolwiek będzie stan literatury europejskiej, zajmą one zawsze w niej jako przekład jedno z pierwszych miejsc. Ale naprawdę powieści chińskie tak są podobne do arabskich, jak poezye Bogdana Zaleskiego do powieści Pawła de Kock. Nie wiem czy wiadomo autorowi artykułu, że powieści pisano już w Chinach, kiedy ta gałąź literatury zupełnie jeszcze nieznaną była w Europie. Istnieją tam powieści fantastyczne, moralne, obyczajowe i erotyczne. W Chinach znajdzie swojego protoplastę i Bacaccio, i Balzak, i Hoffman. Więcej powiem, krytyka nawet literacka wysoko jest tam rozwinięta, i zdziwiłby się autor, czytając sprawozdania o powieściach i utworach scenicznych, z którychby się niejeden z naszych krytyków wiele mógł nauczyć.

Co się tyczy samych powieści, wybraną ona została naprzód dlatego, żeby zapoznać czytelników z nieznaną im zupełnie literaturą, co jest rzeczą zawsze pożądaną; powtóre, oprócz moralnej dążności widocznie tam przebijającej, odtwarza ona wiernie pewną stronę obyczajową i daje mnóstwo ciekawych szczegółów o sądowym postępowaniu w Chinach. Czyliż to są względy tak mało ważne, żeby nie należało na nie zwrócić uwagi? A kiedy wszystkie piśmiennictwa zagraniczne wzbogacają się tak skwapliwie w obecnym czasie przekładami z literatur wschodnich, niechże i nam wolno będzie choć z trzeciej ręki, kiedy nie możemy inaczej, przysporzyć naszemu piśmiennictwu jeden z takich utworów, zwłaszcza gdy sam autor artykułu zauważył, iż o dobre oryginalne utwory teraz trudno, a do przekładów z różnych europejskich powieściopisarzy, wielu jest i tak współzawodników, niezawsze dobrym wyborem się zalecających.

Studentowi szkoły głównej, który pisał do nas list, z projektem do artykułu o czytelnich książek naukowych, oświadczamy, iż drukowanie tego artykułu, później nastąpi.

Kościół panien sakramentek w Warszawie.

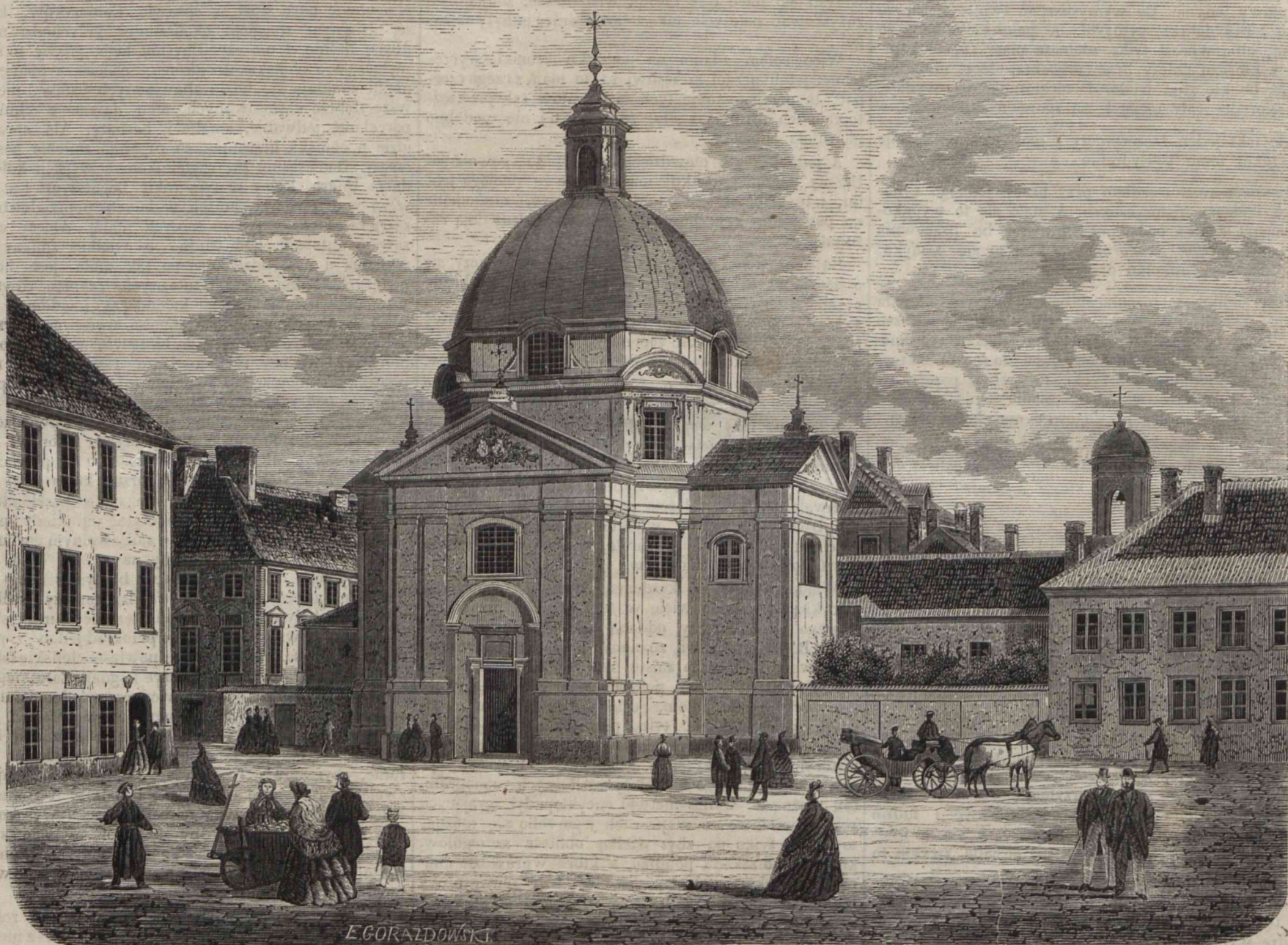
Piękna świątynia na Nowém-mieście jest pamiątką po królowej Maryi Kaźmirze Sobieskiej, która, jak Marya Ludwika małżonka Władysława IV i Jana Kaźmirza, rodem Francuzka, zaprowadziła u nas wizytki, tak sama, podobnie z Francyi, przeniosła zakon benedyktynek ściślejszej reguły, od nieustannej czci oddawaney Najświętszemu Sakramentowi zwanych sakramentkami. Królowa Sobieska miała jeszcze nadto powód do wzniesienia nowego kościoła w Warszawie, uczyniwszy ślub podczas wyprawy wiedeńskiej, aby Pan Najwyższy pobłogosławił jej mężowi i dał szczęśliwie wrócić walczącym z Muzułmanami. Co gdy się spełniło, zakupiła grunt od Kacpra Waltera rajcy warszawskiego, oraz dwa domy, jeden całkiem mury, a drugi napół drewniany, od Adama Kotowskiego stolnika ziemi wyszogrodzkiej, z których kamienicę na klasztor przerobiła, zaś kościół rozpoczęła budować w r. 1683 i w pięć lat takowy ukończyła.

Wprawdzie istniały już wtedy zakłady naukowe zakonne dla płci żeńskiej w Warszawie, bo u panien bernardynek uczono córki obywatelskie, a panny wizytki miały szkoły przeznaczone dla córek wyższej szlachty; gdy jednak ostatnie zgromadzenie więcej przez obce jak zakonne osoby udzielało nauki i niewiele panien mieścić się tam mogło, przeto nowy zakład mógł być bardzo użytecznym i takim był też ciągle od czasu swego założenia.

Dyplom erekcyi wydała królowa dnia 22 czerwca 1658 r. Przyjęły go bez zmiany zakonnice, potwierdził zaś Stanisław Witwicki biskup poznański, jako miejscowy pasterz dyecezyi. Przeniesienie sakramentek z zamku, gdzie od przyjazdu swego mieszkaly, na Nowe miasto, odbyło się w tymże roku z wielką uroczystością. Wszystkie cechy z chorągwiami z muzyką poprzedzały duchowieństwo zakonne i świeckie; następnie szli znajdujący się w Warszawie biskupi, a za nimi nuncyusz papieski. Król prowadził pierwszą przełożoną, a królowa podprzełożoną; senatorowie,

Francuzki, lecz te po upływie pewnego czasu wróciły w rodzinne strony, usposobiwszy na swoje miejsce Polki. Pierwsza przełożona tutejszego klasztoru nazywała się Marya Rodegunda de Béavois. Pierwsza Polka, która sakramentką została w roku 1690, była Marya Bidzińska. Przełożoną jednak z Polek dopiero w r. 1730 obrano Katarzynę Potocką.

Cały atoli zakon przykładnym życiem i wyższym kształceniem, a mianowicie swym pochodzeniem, wkrótce zjednał sobie wielki mir w kraju. Możni panowie mieli szczególne dla klasztoru względy, zapisując znaczne fundusze na jego potrzeby; księżniczki, wojewodzianki, senatorówny wstępowały do zgromadzenia. Tu przyjęła habit pomiędzy innymi Marya Józefa Wesslówna kasztelanka warszawska i jej siostra Klementyna, która kilkadziesiąt lat w zakonie przebywszy, umarła dopiero w r. 1831 w 85 roku życia. Oba tych sióstr ciotka, Konstancja Sobieska, małżonka królewicza Konstantego, także po śmierci



KOŚCIÓŁ PANIEN SAKRAMENTEK W WARSZAWIE. (Rysował z natury Kozarski.)

Wszelkie koszta ponosiła królowa z własnych dochodów i często zwidzała wznoszące się mury, strzegąc aby nic nie pominięto tak dla upiększenia, jakoteż odpowiedniego urządzenia wewnątrz. Poczem udała się do założycielki sakramentek w Paryżu, która jej przysłała w r. 1637 ośm zakonnic francuzkich i kilkanaście innych osób i te urządziły tutaj pierwszy klasztor, na wzór paryżkiego.

Nowe to zgromadzenie w Polsce zobowiązało się modlić ciągle przed Najświętszym Sakramentem, na chwałę całego kraju, uczyć młode panienki szlacheckie nauk i robót, wreszcie i przedewszystkiem rozpowszechniać w Warszawie i w Polsce język francuzki. Przepisy założycielki wymagały także, aby modlitwy odbywały się zawsze w tymże języku, co dotąd jest zachowaniem, i z tego powodu postanowionem było, aby 8 zakonnic zawsze były rodem Francuzki, a 6 tylko Polek, który to ostatni warunek z czasem został uchylony.

wszyscy dostojnicy rzpltej, magistrat starój i nowój Warszawy, oraz tłum ludu postępował za nimi. Po odprawionej mszy św. przez nuncyusza i kazaniu, oddane były klucze przełożonej, poczem zakonnice poprowadzone zostały przez chórową kratę do klasztoru, gdzie odebrawszy błogosławieństwo od celebrującego pasterza, zaczęły zaraz pełnić swoje obowiązki.

Marya Kaźmira nieustannie opiekowała się swoją fundacją; kochała ona sakramentki, tak jak niegdys Marya Ludwika wizytki. Przebywała często w klasztorze, przeznaczała znaczne fundusze na ich utrzymanie i brała udział we wszystkich uroczystościach jakie miały miejsce za jej pobytu w Warszawie. Nawet kiedy po śmierci króla Jana opuściła Polskę i osiadła w Rzymie, nie zapomniła o tutejszym zgromadzeniu i zajmowała się niem aż do swojej śmierci.

Pierwsze tedy zakonnice, jak mowiliśmy, były same

swego męża zamieszkała u sakramentek i tu umarła. Księżna Anna Kaźmira Radziwiłłówna wojewodzianka nowogrodzka, była przełożoną klasztoru i wiele jeszcze imion ze znakomitych rodzin pochodzących liczyło w swoim gronie zgromadzenie warszawskie. W nowszych nawet czasach tu została sakramentką w r. 1800 przybyła do naszego miasta Adelaida z linii królewskiej Burbonów księżniczka de Condé, która odbywszy trzymiesięczną próbę, była obłeczona tegoż roku przez biskupa Miaskowskiego, w przytomności Ludwika XVIII, bawiącego wówczas w Warszawie, księcia i księżny Angoulême i wielu innych dostojnych osób. Z powodu zmian politycznych opuściła ona klasztor w r. 1805 i później była nową założycielką sakramentek w Paryżu.

Za panowania Augusta III, klasztor tutejszy w szczególnem był poważaniu, cały bowiem wyższy świat stolicy w jego murach zgromadzał się. Pobożna kró-

lowa Marya Józefa zastępowała im fundatorkę, kościół zaś, chociaż szczupły, niejednokrotnie wybierano do odprawiania najznakomitszych uroczystości duchownych. Liczba zakonnic doszła wtedy do znacznej cyfry, a majątek coraz bardziej pomnażał się. Wkrótce i miejsce okazało się zaszczerpe, dobudowano więc nowy gmach już za Stanisława Augusta, z funduszu wyżej wspomnianej księżniczki Radziwiłłówny, do czego i sam król w znacznej części się przychylił. Skutkiem jego przyłożenia się, zakonnice otrzymały nowe, wspanialsze, a razem nierównie wygodniejsze niż przedtem mieszkanie. Rozszerzono wtedy wewnątrz nieco klasztor i zewnątrz przyozdobiono go od ulicy tak dalece, że króla Poniatowskiego sakramentki słusznie uważają za drugiego swego fundatora. Stało się to w r. 1783. Potem zmieniły się czasy, a wypadki jakie później nastąpiły na położenie tutejszego klasztoru nie miały wpływu wywarły. Rząd pruski odebrał mu dobra, wyznaczając za nie wynagrodzenie. Znikła przeto dawna zamożność, zakonnice zubożały, ale nie upadły na duchu i nie przestały zarówno być gorliwymi do chwały Bożej i pracy w nauczaniu powierzonych im dzieł; przeżyły więc burze i do naszych czasów z chlubą wytrwały, wiodąc życie pobożne i pracowite, czem od początku swego istnienia zjednały sobie powszechny szacunek, wdzięczne wspomnienie w potomności i piękną kartę w dziejach oświaty krajowej. W r. 1838 staraniem przeoryszy Krystyny Sędziwójki, kościół z klasztorem całkowicie wewnątrz i zewnątrz był odnowiony i znowu w r. 1851 jeszcze dokładniej i wspanialej kosztem rządowym został wyrestaurowany.

Sakramentki żyją podług reguły tak jak inne benedyktynki, z tą tylko różnicą, że mają nadto ślub tak w dzień jak w nocy i za dnia jak w nocy, zaś w stylu odrodzenia. We frontonie głównym umieszczony jest herb Janina i Trzy kozy, herb rodziny Sobieskich, zamek księżny de Turenne Bouillon, zmarłej w Żółkwi, 1740 r., której ciało tu pochowane zostało. Cały z marmuru czerwonego, osoba zaś z białego marmuru, wsparta na trumnie, wystawia płaczącą niewiastę, przy której nogach jest herb królestwa, po prawej stronie geniusz trzyma herb jej małżonka, u góry medalion w płaskorzeźbie.

Nakoniec do nowszych pomników należą dwa pomniejsze, Józefy z Marchandów Reisewitz († 1844) i Małgorzaty Sawińskiej († 1820).

Nad wielkimi drzwiami jest chór jonskiej budowy, z organami. Wechodząc do kościoła z klasztoru, napotyka się chór zakonny, mający z obu stron stałe ze skrzynek zamykanymi na kluczyki. Tamże we framudze umieszczona jest wielka statua Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus na ręku, snycerską robotą, cała wyślaczana, z koronami na głowie, pastorałem w ręku, wyobrażająca księżną całego zgromadzenia. Na ścianach zawieszono piękne obrazy św. Benedykta, Bożego Narodzenia, Zwiastowania Najświętszej Panny, św. Anny i inne. W kapitułach czyli sali zgromadzeń nad odrzwiami wechodowymi umieszczone są trzy bardzo dobre pędzla współczesne portrety: jeden na białym, mniejszy, owalny, przedstawia króla Jana III w zbroi. Drugi na płótnie także owalny, większy, królową Maryą Kazi-mirą, najlepszy wizerunek jaki nam wi-dzieć się zdarzyło. Postać bardzo powabna, twarz piękna, z wyrazem jednak złośliwości. Trzeci największy, pastelami robiony, wyobraża księżną de Bouillon, osobę także bardzo piękną, pod względem sztuki doskonały obraz. Tu dotąd starannie z religijnym szacunkiem przechowują niektóre zabytki po swojej założycielce i dobrodziejach klasztoru. Do takich należą: puszka na komunikanty srebrna wyślaczana, bardzo wytwornej filigranowej roboty, wysadzana granatami, przerobiona z kielicha zdobytego



DRZEWA PODANIOWE. WIERZBA.



DRZEWA PODANIOWE. LIPA.

Maryi Kazi-miry d'Arquien, w bocznych cyfry króla i królowej Sobieskich. Okna o trzech piętach, kopuła ośmioboczna zakończona latarnią w stylu odrodzenia. Wnętrze kościoła jest w porządku korynckim, cała zaś budowa w formie krzyża; kopuła wewnątrz malowana al fresco, przedstawia apoteozę chwały Najwyższego, olbrzymie artystyczne dzieło nieznanego mistrza, które przy ostatniej restauracji kościoła w r. 1851 bardzo umiejętnie odnowione zostało. W ogóle niewielki to kościółek, lecz widny, wesół i czysto utrzymany. Ma tylko trzy ołtarze, z których na wielkim umieszczone marmurowe tabernaculum przyozdobione srebrem, ze czterema cherubinami trzymającymi świeczniki, zaś w miejsce obrazu wymalowane są na ścianie anioły klęczące przed Najświętszym Sakramentem. Prezbiterium oddzielone balustradą styka się jedną stroną z chórem zakonnym oddzielną kratą żelazną, a na przeciwnej zakrystyja, nad której drzwiami znajduje się obraz przedstawiający Izraelitów zbierających mannę na puszczy. Drugi ołtarz jest św. Kazi-miry, pod którego wezwaniem kościół tutejszy został poświęcony, a naprzeciw niego Najświętszej Panny z zakonnikami i zakonnicami reguły św. Benedykta. Oba te ołtarze podobnie jak wielki są malowane al fresco.

Przed ołtarzem św. Kazi-miry stoi nagrobek Józefy z Wesslów Sobieskiej, żony królewicza Konstantego, zmarłej w r. 1761. Jest to sarkofag z marmuru ciemnego, mający podstawę z marmuru czarnego. Dwa geniusze trzymają medalion z portretem w płaskorzeźbie, na wierzchu gwiazdy w pośród obłoków.

Drugi pomnik przy ołtarzu Najświętszej Panny Maryi znajdujący się, jest nagrobkiem Maryi Karoliny, córki królewicza Jakuba, a wnuczki Jana III Sobieskiego, zamek księżny de Turenne Bouillon, zmarłej w Żółkwi, 1740 r., której ciało tu pochowane zostało. Cały z marmuru czerwonego, osoba zaś z białego marmuru, wsparta na trumnie, wystawia płaczącą niewiastę, przy której nogach jest herb królestwa, po prawej stronie geniusz trzyma herb jej małżonka, u góry medalion w płaskorzeźbie.

Nakoniec do nowszych pomników należą dwa pomniejsze, Józefy z Marchandów Reisewitz († 1844) i Małgorzaty Sawińskiej († 1820).

Nad wielkimi drzwiami jest chór jonskiej budowy, z organami. Wechodząc do kościoła z klasztoru, napotyka się chór zakonny, mający z obu stron stałe ze skrzynek zamykanymi na kluczyki. Tamże we framudze umieszczona jest wielka statua Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus na ręku, snycerską robotą, cała wyślaczana, z koronami na głowie, pastorałem w ręku, wyobrażająca księżną całego zgromadzenia. Na ścianach zawieszono piękne obrazy św. Benedykta, Bożego Narodzenia, Zwiastowania Najświętszej Panny, św. Anny i inne. W kapitułach czyli sali zgromadzeń nad odrzwiami wechodowymi umieszczone są trzy bardzo dobre pędzla współczesne portrety: jeden na białym, mniejszy, owalny, przedstawia króla Jana III w zbroi. Drugi na płótnie także owalny, większy, królową Maryą Kazi-mirą, najlepszy wizerunek jaki nam widzieć się zdarzyło. Postać bardzo powabna, twarz piękna, z wyrazem jednak złośliwości. Trzeci największy, pastelami robiony, wyobraża księżną de Bouillon, osobę także bardzo piękną, pod względem sztuki doskonały obraz. Tu dotąd starannie z religijnym szacunkiem przechowują niektóre zabytki po swojej założycielce i dobrodziejach klasztoru. Do takich należą: puszka na komunikanty srebrna wyślaczana, bardzo wytwornej filigranowej roboty, wysadzana granatami, przerobiona z kielicha zdobytego

w czasie wyprawy wiedeńskiej, który król Jan III złożył w ofierze dla tutejszego kościoła. Pokazują ornat z białego atlasu, sprawiony przez królową Maryą Kaziemirą, arcydzieło dawnej sztuki haftarskiej, na którym wyszywane są w płaskorzeźbie jedwabiami i złotem rozmaite wyobrażenia świętych, tudzież herby obojga królestwa; także patki i bursy. Wreszcie nawet piękne tamże znajdujące się starożytne meble są pamiątką po żonie królewicza Konstantego, mianowicie krzesła obite skórą hiszpańską wyłaczaną w kwiaty i biuro wytwornej stolarskiej roboty.

Przy kościele sakramentek znajduje się arcybractwo nieustającej adoracji Przenajświętszego Sakramentu, z osób świeckich złożone, istniejące od czasu założenia zgromadzenia. Dawniej same tylko kobiety należały do niego. Obowiązki ich, oprócz uczynków dobroczynnych, były: asystować na processjach, kłęcząc w pewnych godzinach przez siebie obrany, dawać składki na światło i znajdować się na wyborach odbywających się po nabożeństwie w rocznicę poświęcenia kościoła. Po ostatniej atoli reformie, wznowieniu i rozszerzeniu tegoż bractwa w latach 1843 i 1846, mężczyźni największy w niem mają udział. Teraźniejszym ich celem jest przedewszystkiem dawanie opieki wstydzącym się zebrać i uroczystość pierwszej komunii dla dzieci. Ostatni obowiązek został pamiątką po czciogodnym biskupie Dekercie, który podał myśl do tego pięknego i tkliwego obrzędu, corocznie w tej świątyni z wielką uroczystością się odbywającego. Odtąd w pierwszą niedzielę po Zielonych świątkach kościół sakramentek napełniony bywa dziatwą obojg płci; pomiędzy nimi dziewczęta ubrane w bieli, z małymi wieńcami białych kwiatków na głowie, przy stosownych obrzędach przystępują do przyjmowania Najświętszego Sakramentu, który to obrzęd najbawieńszyszy często wpływ na całe ich życie wywiera.

DRZEWA PODANIOWE.

opisał

Józef Grajner.

(Z rysunkami Kostrzewskiego.)

1. Wierzba.

(Zwyczajna, płacząca, palmowa, rokitnica.)

....Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!

Mickiewicz.

Lud nasz od wieków tak ukochał otaczającą go przyrodę, że w czasach pierwotnej wiary nie wahał się podzielić z nią swym własnym życiem, umieszczając w tworach natury duchy zmarłych swych ojców i braci. Ztąd też piekło i niebo było u niego na ziemi, w bliskości chat, na polach, w gajach i lasach. Zły człowiek dzielił się po śmierci życiem ze złymi twórcami, dobry z dobrymi; pierwsze zwały się u niego świętymi, drugie złymi, przekłętymi. Tę miłość ku naturze ludu naszego widzimy dotąd tak w jego codziennym życiu, jako i w spuszczeniach wiekowych jego duchowej strony, jednym słowem w podaniach i pieśniach. Zwierzęta, rośliny, kwiaty, drzewa i żywioły przemawiają tam ludzką mową; a to co w wyidealizacji zmysłu znakomitych poetów podziwiamy dziś, to w ludzkie naszym istnieniu oddawna. Zaprawdę też, lud jest największym poetą! Kto umię czerpać materiały z tej *in crudo* bryły złota i brylantów dla swego natchnienia, ten się nieśmiertelnym staje. Czyż bowiem Mickiewicz lub Słowacki nie są dziećmi duchowemi ludu naszego? Posłuchajmy naprzykład jak pierwszy z nich wraz z podaniami ludu naszego uwiecznia drzewa, śpiwając w *Panu Tadeuszu*:

Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pętałem jak dziecię...

Otóż sądzimy, że nie od rzeczy będzie przedstawić w pewnej całości miłość ludu naszego ku twórcom natury, obrazującą się najwięcej w podaniach.

Zaczynamy od drzew, a mianowicie od wierzby. Jest ona tém między drzewinami u nas, czém wróbel między ptakami, chleb między pokarmami, kolor biały między barwami, krakowiak między śpiewami, jednym słowem jest najpowszedniejszym, najwięcej napotykanym drzewem w podaniach i w życiu.

Wierzba stroi żywym płotem ogródki i podwórka wiejskie, szumi nad stawami i strumykami, płacze nad grobami cmentarzy, rozwesela oko i chłodzi podróżnego wśród skwaru, użycza opału, gałązek na kose i fujarek do wygrywania. Dla tylu przymiotów kocha ją wieśniak i rad o niej w podaniach, piosenkach i przysłowiaach wspominać. Zieleniącą się na wiosnę wierzbę, lud nasz rad przyrównywać do młó-

děj, nadobnej dziewczyny. Ztąd też w krakowiakach często jest wyśpiewywana, np:

Po zielonej wierzbie skacze sobie sroczka:
Spodobały mi się u Marysi oczka.

Obcięta wierzba z gałęzi aż po sam pień, złamana, lub też bez korzenia utkwiona w ładajakięj ziemi, wyrasta łatwo i zieleni się szybko. Ta jej bujność i płodność dała początek mytologicznemu, litewskiemu podaniu, które tu przytaczamy:

Pewna niewiasta nazwiskiem Blenda lub Blinda była tak płodną, że nawet ze wszystkich części ciała, nóg, rąk, palców, potomstwo otrzymywała. Ziemia, najpłodniejsza ze wszystkich matek na świecie, pozazdrościła jej takiej urodzajności i sprawiła, że gdy raz szła przez grząską łąkę, uwieźła w nią, a potem ją za nogi tak mocno ścisnęła, że wrosłszy w ziemię, wyrosła wierzba. Ztąd drzewo to uważane jest za święte na Litwie i wpływające zbawienie na płodność; powiastka zaś ta, powtarzająca się podziś dzień u ludu litewskiego, dowodzi zadziwiającej mocy tradycyi ludowych; bo wiemy z mytologii litewskiej, że Blinda bajeczna bohaterka tę samą ma własność rodzenia i to samo ją spotkało od bogini Kruminy, królowej zbóż i plonu, opiekunki niw i zaprowadzicielki rolnictwa. Szukała ona swojej córki porwanej przez boga piekieł, jeździła po wszystkich ziemi płacząc, a lzy jej zmieniły się w pszenicę, żyto i inne zboże. Wierzba po litewsku Blindą się zowie; lud litewski równie jak polski wielce ją szanuje, a mężatki wiejskie na Litwie modlą się przy niej, życząc sobie potomstwa.

Ze wierzba najpłodniejszem jest drzewem, dowodem tego jest jeszcze to, że jej gatunków znanych do 200 się liczy. U nas najpospolitsze są: wierzba zwyczajna, płacząca, złota, rokitnica, łozina, wiklina, wierzba rozmarynowa, palmowa, a podanie czeskie i o białej wierzbie wspomina.

Z gatunków tych znajdujemy w podaniach najczęściej *rokitnicę*. Na Polesiu *blindzią* jest zwana, a u nas jest najmniejszym lecz bardzo pospolitym gatunkiem; gałęzie ma śniące, do wyplatania koszyków przydatne. Bardzo jest pospolitą na łąkach wilgotnych i chrapach, gdzie krzewiasto rośnie; że zaś w takich odludnych miejscach i na kępach wśród błot swojscy diabli (może rabusie?) najwięcej radzi przebywać, więc lud nasz polskiego diabła, zwykle ubranego w rogatą czapkę, *Rokitę*, a czasem *Jasiek* zowie. Spotykają ich najczęściej, jak tego się łatwo każdy domysli, chłopcy pijani, których też diabeł-Rokita po wertepach błotnych, wśród krzewów rokitnicy do rana wodzi wokół.

Wierzba płacząca, inaczej babilońska zwana, pochodzi z Azji mniejszej, a ma gałązki cienkie, długie, całkiem zwiste. O takich to wierzbach król Dawid śpiewa w psalmie 137, rozpamiętując niewolę ludu: „Nad rzekami babilońskimi, tamśmy siadali i płakali, wspominając na Syon.

Na wierzbach, które są w nim, zawiesiliśmy harfy nasze.“

Wierzba palmowa, nazwana tak, że ją poświęcają w palmową niedzielę, t. j. kwietnią, rośnie dość wysoko, na różne wyroby zdatna. W Chinach gałązki jej za święte są uznawane, a w Jeruzalem Zbawcy naszemu lud rzucał ją pod nogi, na znak tryumfu; tym samym symbolem jest palma w ręku męczenników.

U nas po poświęceniu palmy polykają na wsiach jej kotki, t. j. pączki puszyste, jako przesądne lekarstwo, po którym przez cały rok ani febra, ani ból głowy i gardła tykającego nie spotka.

Jest u nas podanie, że wykrecona pieszczalka z wierzby rosnącej w ciemnym, niedostępnym borze, gdzie ani szum wody, ani pianie koguta, nieprzyjaznego widmowi i złym duchom, słyszeć się nie dały, śpiewała ludzkim głosem i poruszała do tańca umarłych, skoro na niej zagrano. A któż nie zna owego cudnego podania o wierzbie zasadzonej na grobie zamordowanej dziewczicy przez siostrę rywalkę, z której to wierzby zrobiona pieszczalka wygrała pastuszkowi wszystko, co nieszczęśliwe dziewczę w lesie na malinach spotkało? Wszakże to Słowacki osnuł na tém podaniu przesłanną swą Balladynę, a Aleksander Chodźko ułożył wierszem pierwszą legendę. Pierwsze słowa, które pastuszkowi fujarka wygrała, tak nam pieśń ludowa podaje:

„Graj pastuszkę, graj!

Bóg ci pomagaj!

Starsza siostra mnie zabiła,

Młodsza siostra mnie broniła,

Graj pastuszkę, graj!

Bóg ci pomagaj!“

Kiedy w końcu i zbójczyni zagrała, wtedy tak sa-

mo śpiewała jej fujarka, a potem w krew się zmieniła i twarz jej oblała.

Inna odmiana tego podania mówi, że z takiej wierzby wystrugane skrzypce grały owczareczkowi piosenkę:

Pomalutku owczaryszku,

Pomalutku graj!

Bo mnie siostrzyczki zabiły,

W serduszek nóż mi wraziły,

Pomalutku graj!“

Jedna z sióstr roztrząsała z gniewem skrzypkę o ziemię, a wtedy wyleciał z niej biały gołąbeczek (t. j. dusza zabitej) i wprost do nieba poleciał. Siostry śmiercią ukarane zostały.

Słynny żyjący poeta czeski Erben osnuł na podaniu ludowem czeskim pieśń p. n. „Wierzba.“ Podanie to zresztą jest jedyne w swoim rodzaju, bo nigdzie indziej nie łączono z wierzbą życia kobiety tak, aby jedno bez drugiego obejść się nie mogło, aby śmierć jednej pociągnęła za sobą śmierć drugiej. Posłuchajmy treści tego podania:

Była jedna pani, która zazwyczaj zdrową się kładła do łóżka, a w nocy zimną, martwą leżała, nie czując, nie słysząc, nawet dziecięcia swego, choćby jaknajmocniej płakało. Zdziwiony tén mąż spytał się jej raz o przyczynę tego i zarazem prosił, aby się z tój martwoży leczenia bylica. Ale pani, uważając tę niemoc za przeznaczenie swoje, odpowiedziała, że już jej nic na to nie pomoże. Tymczasem mąż poszedł do wróżki stariej o poradę. Ta mu dała tę odpowiedź, że dlatego żona jego martwą jest w nocy, bo duch jej wtedy przebywa w wierzbie *białej*, która nad potokiem rośnie. Pan rozgniewany na wierzbę, ścigał ją siekierą do korzenia; wierzba padła w głęboką z szumem i westchnęła tak boleśnie, jak matka, kiedy dziecięcia swego odumiera. W tej chwili też donoszą panu, że żona jego umarła, a konając tak westchnęła, jakby na wieki swe dziecko żegnała. Pan, biadując, poszedł nad potok; z głębi jego odezwał się głos zmarłej żony, żeby wierzbę wyciągnął z wody, okrzesał jej prątki i kazał upleść kołębceczkę, którą na wodę z dzieciątkiem ma puścić, aby je matka wychowując, kołysała. Inne zaś prątki rość mają na brzegu strumienia, aby kiedy podrosną wraz z dzieciną,

Na fujarce dziecię grało

I z mateczką rozmawiało.

Nawet przy obrzędzie wiary naszej wierzba ma zastosowanie swoje. Na Litwie i Białej Rusi, przed wielkanocą w kwietnią czyli palmową niedzielę, poświęconą wierzba chłopcy i dziewczęta smagają się wzajem, przysiadując:

Nie ja biję,

Wierzba bije!

Za tydzień

Wielki dzień!

Aż do Ukrainy żyje wierzba w przysłowiu, bo jeśli chcemy powiedzieć jakieś niepodobieństwo mówimy: „Gruski na wierzbie!“ lub „przedziej gruski na wierzbie wyrosną,“ niż się to a to stanie. Litwini w takich razach mają przysłowie: „Na wierzbie jagody!“

Lecz o ile wierzba zielona, zagajona, mile jest przez lud widziana, o tyle spruchniała, sucha, przykre czyni na nim wrażenie; w przesądach jego nawet jest zazwyczaj siedliskiem zrazu złych duchów, a za chrześcijaństwa diabłów, którzy czyhają na wieśniaków przechodzących i często ich w manowce wprowadzają. Chcąc zaś wyrazić niestosowne, a zarazem uprzywilejowane miłości, używa się przysłowia: „Zakochał się, jak diabeł w suchą wierzbie!“ Z suchej wierzby miśternie wyciągnął Wacław Szymanowski tłustego diabła we fracku i opisał w bardzo zręcznym wierszu, umieszczonym w kalendarzu Józefa Ungra z r. 1855, „Historię, jako diabeł schudł przy babie.“ Piosenki smutnie wspominają czasem o stariej wierzbie, z alluzją do stariej żony, do wymrozonego uczucia, np.

Siedzi ptaszek w stariej wierzbie, zima tam.

Kiedy ja się młodej żony doczekam?

2. Lipa.

Do drzew dobrych w podaniach, a do świętych w mytologii naszej należała wonna, wzniosła i rozłożysta lipa. Ulubiona niegdyś duchom opiekującym się domami, wrosła osłoniętą przez swe konary chatom i dworcom szczęście i błogą dolę. Towarzyszy ona nam w życiu i wspomnieniach tak często, jak

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

11 grudnia.

wierzby; daje z łona swego kołyski, niecki, skrzypki, gęśle, mosty, stoły, cembrowane studzienki, okazałe budowle, kosztowne sprzęty i trumny. Lud też śpiewa na weselach:

Co tam było stołów! a wszystko lipowe;
Co było obrusów! wszystko toruniowe. (z Torunia.)

A kołysząc matka dziecko, usypiać je zwykła tą o lipie zwrotką:

„Kołysz-że się, kołysz kołębko lipowa,
Może cię syneczku, Pan Jezus uchowa...”

Kwiatem swym blado-żółtym, pełnym woni lipa w dni lipcowe weseli oko i duszę, ciału choremu ulgę ziółkami przynosi, a skrzętnym pszczołom używa miodu, który na Litwie najlepszy, najwonnejszy, *lipcem* się zowie. Żaden prawie dworek, prawie żadne podwórze dworskie, zgola żadna wioska, a szczególnie kościółek, bez lipy obejść się nie mogą, i kiedy wraz z nami kołysz dzieci, razem z nami wygrywa i wraz z nami kładzie się na wieczny spoczynek w głąb' rodzinnej ziemi, jakżeż nie ma być przez nas ukochaną drzewiną? Czyż nie ona uroczą swą prostotą przyświeca w przedświcie dziejów naszych z nad chaty króla kołodzieja? Czyż to nie pod lipą wiesz z Czarnolesia wiekopomną stroił sobie lutnię?

Wszak lipa czarnoleska na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła!... (powiada Mickiewicz.)

I czy to nie pod lipą wyśpiewał Wacław smutnej przecuciem Maryi owe po całej Polsce powtarzane słowa: „Czyś ty nie chora?” O ogromnej lipie, jakby o baobabie, opiewa autor „Pana Tadeusza”:

...I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domkiem nad brzegami Rosi
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec pa-
rami?

A wieleż piewści ludowych, wiele piosenek nie wdzięczy się jej błogowróbną zielenią i szumem! W aforyzmach krótkich, najczęściej miłosnych piosenek jakże lipa wspominana jest często: np.

Wezmę ja skrzypki
Z zielonej lipki
I zagram sobie.

lub:

Po lipowym moście
Jadą, jadą goście!

Wyrosła lipka z potoka,
Czekaj mnie Kasiu do roka!

Zielona lipa, biały kwiat,
Wędruj, dziewczyno, w cudzy świat.

[i t. d. i t. d.]
Że z łyka lipowego sitarze robią sita i przetaki, w których często lud groch turlając przebiega, więc też urosła zagadka: Co to jest?

„Turlają się goście
Po lipowym moście.

Odpowiadają na to, że to jest przetak i ziarnka grochu na nim turlane. Z łyka lipowego w Ostrołęckim robią obuwie zwane *kurpiami*, a w wielu miejscach i korobeczki czyli kobialki na plecy, używane w czasie podróży.

Jest też jeszcze inna zagadka na lipę; lud bowiem pyta: Co to jest?

„W polu krtalo,
W karczmie grało,
Przyszło do dom zapłakało.”

Odpowiadają, że to jest lipa, która w polu kwitnie, do karczmy daje skrzypkę, a do domu kołyskę z płaczącą dzieciną.

W ogóle lipa ważną gra rolę w podaniach wszystkich ludów słowiańskich. Jako drzewo dobre, święte, nieprzyjazne było za pogaństwa złym duchom, a za chrześcijaństwa czarownikom. Ztąd też u ludu naszego w baśniach i skazkach, czarownice kielznano uzdeczkami zrobionymi z łyka lipowego; ztąd też świątynie Pańskie rade się tulić pod lip konary. Według przesądów ludu z nad Buga, czarownica chcąc kogoś przemienić na wilkołaka, to: „łyka kruliła z lipiny i warila i tojoj wodoju podliła pid lude.” (pod ludzi.)

Wybitną cechą bieżącego tygodnia stanowi posucha na nowiny polityczne. Jedna tylko kwestya Szlezwigo-Holsztyńska posiada wyłączny przywilej zwracania na siebie uwagi powszechnej. Kwestya to żywotna dla Europy środkowej, ale niesłychanie zawiślana i ciężka do rozwiązania. Jakkolwiek trudno zwyklemu śmiertelnikowi dotknąć się tajemniczej zasłony przyszłości, bez narażenia się na miano fałszywego proroka, nie wahamy się wszakże obstawiać przy pierwotnym naszym zdaniu. Powtarzamy i dziś jeszcze: nie wierzymy w blizkie oderwanie pomienionych księstw od Danii, ani na rzecz księcia Augustenburg, ani na rzecz Niemiec. Austria i Prusy oświadczyły się za protokółem londyńskim, tym samym więc wyrzekły się prawa popierania interesów księcia Augustenburgskiego, który istotnie żadnego prawa do tronu nie posiada. Jedynym prawym dziećcem kstęstw była dynastya książąt Holstein-Gottorpskich, a ta zrzekła się swych praw protokółem londyńskim na rzecz Fryderyka VII i jego następców. Tym mniej jeszcze wierzymy w rozbiór królestwa duńskiego, bo protokół podpisany w Londynie przez wszystkie wielkie mocarstwa i dotąd przez nie przyznawany, dostateczną ma powagę do obalenia wszelkiej przeciwniej agitacyi. Nie może więc być mowy o czem innem jak o egzekucyi związkowej, i wyznać należy że się na nią strasznie jakoś zanosi. Prawda, że z wielkiej chmury często mały dęszcz bywa, zwłaszcza w społeczeństwie które przyjęło „*festina lente*” jako godło swego charakteru w działaniach; nie możemy wszakże pominąć wskazówek egzekucyjnych, jakie w dziennikach niemieckich napotyamy. W ostatnich czasach, Dania cofnęła patenta z 30 marca, ale ustępstwo to nie uspokaja bundestagu, gdyż, jak donoszą dzienniki, związek postanowił, w d. 7 b. m., że egzekucya natychmiast nastąpić musi. Sądząc po przygotowaniach niemieckich, wnieść można, że w razie nastąpienia egzekucyi, wojska niemieckie wkroczą do Holsztynu w połowie bieżącego miesiąca. Ilość wojska związkowego wynosić ma do 22,000 ludzi, to jest 12,000 Sasów i 10,000 Austriaków i Prusaków, a nadto, korpus austriacko-pruski w liczbie 45,000 ludzi, stanąć ma w rezerwie nad niższą Elbą. Choćby nas o optymizm posadzić miano, niezupełnie wierzymy jeszcze we gżekucyę. Dzienniki niemieckie obliczają siły związkowe, grupują rezerwy, a wszystko to prysnąć jeszcze może pod naciskiem zagranicznej dyplomacyi, lub ważnem ustępstwem gabinetu duńskiego. Jeżeliby nawet rzeczywście przyszło do egzekucyi to i w takim razie, ograniczy się na Holsztynie i nie zdoła szerszego zatoczyć sobie koła.

Pogrzebana przed kilku dniami idea kongresu powszechnego odradzać się zaczyna pod piórem optymistów nadsekwańskich. Monitor ogłasza urzędowo listy monarchów przychylnych mniej lub więcej kongresowi, a prasa francuzka, szczególnie zaś półurzędowa, upatruje w tém myśl zawiązania kongresu bez Anglii. Ta myśl odrodzenia idei kongresu przebiega się nawet w pracach komisyyi adresowej senatu. W projekcie adresu, komisyya gorąco pochwała ideę kongresu powszechnego, wspomina o odmowie gabinetu angielskiego i wynurza zdanie, że inne mocarstwa zyskać tylko mogą na tém, że położenie mające tak groźny charakter zgłębionem zostało. Projekt adresu kończy się temi słowy: „Kraj nie zaprze się waszjej c. mości, ponieważ dałeś mu udział w odpowiedzialności, gdyś w. c. mość, dając mądrą radę, odezwał się do Europy: Mówię w imieniu Francyi.” Frazes to pięknie brzmiące, ale wątpić należy, czy kongres może przyjść do skutku bez udziału jednego z najpotężniejszych mocarstw, chyba że gabinet londyński, pod wpływem nowego ambasadora francuzkiego p. Latour d'Auvergne, nagłym przeskokiem nada odmienny obrót tej sprawie. Minister skarbu p. Fould przedstawił cesarzowi projekt nowej pożyczki trzystumilionowej, właściciel mówiąc, projekt operacyi finansowej, mającej na celu wykupienie bonów skarbu francuzkiego za taką sumę. Nadzwyczajne wydatki spowodowane zostały przedewszystkiem wyprawą meksykańską, która liczne pochłoneła miliony. Tymczasem Juarez trzyma się wciąż w San Lui, gromadzi wojska, partyzantka się szczyrzy coraz silniej, a przyszłe cesarstwo meksykańskie dalekiem jest jeszcze od owęj 700 milionowej pożyczki, z której i skarb francuzki miał się zasilć. Mówią że cesarz Napoleon zdecydował się nareszcie przyjąć ofiarę posłów anamitskich i ustąpić prowincye zdobyte na cesarzu

kochinehińskim, w zamian za protektorat Francyi nad całym państwem, jeden port nadbrzeżny dla Francyi i znaczną coroczną daninę. Te kilkanaście czy tam kilkadziesiąt milionów franków rocznego dochodu nie są do pogardzenia w obec ubożuchnego stanu ostatniego budżetu. Ciało prawodawcze ukończyło sprawdzanie wyborów i zakończyło swe ruchliwe posiedzenia.

Ostatnie wiadomości z Ameryki brzmią pomyślnie dla federalistów. Generał Grant odnieść miał stanowcze zwycięstwo pod Chattanooga nad separatystą Bragg'em i zmusił go do porzucenia wszystkich zajętych pozycyji.

Ostatnie depesze: Wiedeń 8 grudnia. Gazeta wiedeńska (wieczorna) zaprzecza stanowczo wszystkim wieściom o przesileniu ministeryalnem lub dymisyi hr. Rechberga.

Berlin 9 grudnia. Minister skarbu wniósł dzisiaj w izbie deputowanych projekt ustawy, tyżającej się pożyczki dwudziestu milionów talarów na wydatk. wojskowe, spowodowane sprawą szlezwigo-holsztyńską. Naczelne dowództwo nad wojskami egzekucyjnymi miało być powierzone księciu pruskiemu Fryderykowi Karolowi.

Wiedeń 9 grudnia. Poseł duński nadzwyczajny odejchał nieuzyskawszy posłuchania u cesarza. Hr. Rechberg oświadczył posłowi, że dwór austriacki wtedy dopiero będzie mógł uważać dwór kopenhaski za upoważniony do powoływania się na protokół londyński, gdy tenże uczyni zadosyć swym zobowiązaniom względem związku niemieckiego.

Stokholm 8 grudnia. Dziś popołudniu sejm zamknięty został. W mowie tronowej czytamy, między innemi: Nasze interesa nie są jeszcze bezpośrednio zagrożone, choć są związane z utrzymaniem pokoju w Europie; musimy wszakże wziąć udział w kłopotach jakie na króla duńskiego spadły.

Berlin 9 grudnia. Gazeta Krzyżowa pisze: Na poniedziałkowym posiedzeniu sejmku związkowego niemieckiego postanowiono, że wojska hanowerskie i saskie mają za siedm dni stanąć nad granicą holsztyńską, poczekać dni cztery na odpowiedź, a potem wkroczyć do Holsztynu.

EUREKA,

SZKIC SZCZĘŚCIA ZIEMSKIEGO.

skróslony przez A. W. Lasotę.

(Dalszy ciąg.)

V.

Biały dworek.

Można zgadnąć że Kazio pilnie czuwał nad rekonwalescencyą Julka i Stefcia, że wszystkie chwile wolne od wykładów uniwersyteckich i godzin klinicznych przepędzał przy ich łóżeczkach. Chciał aby jak najprędzej ozdrowiały, a lękał się tej chwili, w której obecność jego stanie się niepotrzebną w domu państwa Ludwińskich.

Stało się wszakże inaczej.

Cała rodzina pokochała go serdecznie, niewyjmując nawet Zosi, która polubiła go jak brata, nie wiedząc o tém że ma przed sobą swego obrońcę, błędnego rycerza nocnej przygody.

Pani Salomea uwielbiała jego naukę i rozum; każde słowo dziesięć razy powtarzała sąsiadkom, radziła go się w każdej rzeczy, nietylko w kwestyach medycznych, ale w domowych, gospodarskich, finansowych, słowem Kazio był dla niej księgą sybillińską.

Pan Kasper, ojciec Zosi, wdzięczny Kaziowi za ocalenie dzieci, z każdym dniem bardziej przywiązywał się do młodego lekarza, tém więcej że znalazł w nim człowieka tolerującego swoje słabości.

Pan Kasper nie znał się na poezyi i sztukach pięknych, przekładał konne sztuki nad tragedye, książek czytać nie lubił, ale zato miał zajęcie, które mu wszystkie wolne od urzędowania chwile zajmowało.

Pracując od lat kilkunastu, najprzód w biurze rachuby, a potem w utworzonej z niego izbie obrachunkowej tymczasowej, nabrał szczególniejszej drobiazgowości i pedantyzmu. Daty były u niego wszystkiem. Prowadząc dziennik w biurze, prowadził drugi w domu.

Każde zdarzenie w mieście, przyjazdy znakomitych osób zagranicznych, nominacye urzędników, ich awanse i śmierć, stawianie nowych domów, przypadki nieszczęśliwe, stan aury, spostrzeżenia meteorologiczne, a nawet najdrobniejsze szczegóły domowe, każdego dnia skrzętnie pod bieżącym numerem do swego prywatnego zaciągali dziennika. Były tam nawet zamieszczone sprzeczki z żoną, objawy jej miłości, każdy nowy ząbek dzieci, ich choroby, szczepienie ospy, dnie

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

(Dalszy ciąg).

w których wymawiali pierwszy raz tata lub mama, kiedy pierwszy raz puścili się chodzić; wreszcie odpusty z celebrantem i kaznodzieją, prania bielizny, mycia podłóg, spacery, wszystko to bardzo porządnie miał zapisane. Co rok zaczynał nowy dziennik i żałował tylko, że dopiero od lat dwudziestu, to jest w drugim roku aplikacji, rozpoczął tę pracę pozYTECzną.

Pan Kasper lubił niezmiennie rozwódzić się z tą swoją pisomanią, a na nieszczęście cierpliwych i ciekawych nie znajdował słuchaczy. Czasami tylko, kiedy władze, potrzebując prawdziwej a zapomnianej daty jakiegoś wypadku, zasięgały wiadomości u pana Kaspra, poczeiwy dziennikarz był zachwycony, z dumą udzielał objaśnień, a chwila ta wynagradzała mu wszystkie biurowe i domowe zgryzoty.

To też z wielką radością zauważał, że Kazio jest i ciekawym i cierpliwym słuchaczem. Dowiedziawszy się o upodobaniach dziennikarza, Kazio zadawał mu częste zapytania; ale stanowczo zdobył serce Kaspra, gdy go jednego dnia prosił o pozwolenie przejrzenia dzienników ze wszystkich lat dwudziestu.

— Bardzo mi jest pochlebnem pana konsyliarza życzenie, odrzekł na prośbę pan Kasper, a nawet zdanie to pod właściwym numerem, jako dla mnie zaszczytne, zaciągnę; wszelako pozwolić obecnie na to nie mogę. Widzi pan konsyliarz, są tam pewne rubryki, które tylko wyłącznie obchodzą mnie i moją żonę, bo to uważa pan, ja wszystko zapisuję; ale mam pewną myśl i jeżeli mi Bóg życia dozwoli, przepiszę to wszystko raz jeszcze. Główny dziennik będzie obejmował sprawy publiczne, a przydyalny wydarzenia domowe.

— Ach, dobrze że sobie przypomniałem, pan zapewne notowałeś datę urodzenia dzieci? zapytał Kazio.

— A to dobre, zawołał pan Kasper, jakżeby zaś tego do dziennika nie wciągnąć? Czy to panu konsyliarzowi na co się przyda?

— Wszystko troje, rzekł jakając się Kazio, bo mu właściwie o wiek i dzień urodzin Zosi chodziło, wszystko troje tak wybornie wyglądają, że radbym dowiedzieć się o tém, porównać ich wiek... i zaciął się.

— To i do dziennika zaglądać niema potrzeby, wyrecytuję panu konsyliarzowi zupełnie zgodnie z oryginałem. I zaczął jednym tchem mówić:

— *Zofia Ludwika*, urodziła się z matki Elżbiety z Radkiewiczów, pierwszej żony utrzymującego niniejszy dziennik, roku 1842, dnia 23 września, we czwartek o godzinie 7, minucie 45 z południa. Do nr. 2105.

Julian Franciszek, urodził się z matki Salomei z Puklizantów, drugiej żony utrzymującego niniejszy dziennik, roku 1851 d. 15 listopada, w poniedziałek, o godzinie 14, minucie 40 przed południem. Do nr. 2707.

Stefan Szymon, urodził się z tejże matki r. 1853 d. 25 kwietnia, we wtorek o godzinie 8, m. 23 wieczorem. Do nr. 2873.

Tym sposobem Kazio ujął sobie zupełnie dziennikarza.

A Zosia? Zosia serdecznie polubiła zbawcę swych braci. On tak żywo umiał kręślić dawnych dziejów obrazy i wypadki w których sam miał udział; z takim zapalem czytywał poezję najpięknijszych wieszczów naszych; był tak wesołym, żartobliwym, a co najgłówniejsza, okazywał jej tak serdeczną przyjaźń, jakiej dotąd od nikogo nie doznawała. On był dla



Nr. 98.

Wiek XVI. Pani na przechadźce, czapeczka aksamitna z piórem strusim i branką złocistą, suknia z ogonem niesionym przez karlicę, łańcuch złoty na szyi, fartuch przy pasku, w ręku rękawiczki. W oddaleniu kilku włościan oczekujących. (Rysunek wzięty ze Zwierciadła Reja). (D. c. n.)

niej duchem opiekuńczym, bo od czasu pojawienia się Kazia w białym dworku, macocha stała się dla niej nadzwyczaj łagodną, a w obec pana konsyliarza nigdy nie skrzywiła się, ani surowo nie spojrzała na Zosię. Trzeba zresztą wiedzieć, że pani Salomea, pomimo swej gwałtowności, miała serce dobre i tylko na tego wywierala gniew, kto jej wciąż był pod ręką, lub poważał się jej sprzeciwić.

Kazio, pomimo że codziennie, a czasem dwa razy na dzień, bywał w białym dworku, nie zaniedbywał

W pełni życia, w uroczych dniach młodości, w zaraniu wiosny, któż myśli o zawieruchach jesiennych i martwocie lodowatej zimy? Patrząc na rozkwitające pączki róży, przeczuwać zarazem że on uwiecznie i zginie, na to trzeba być starcem.

A Kazio był w pełni życia, w tych rozkosznych chwilach, które krótko trwają, przemijają szybko, a przecież na śmiertelnym łożu, na usta konającego starca przywołują uśmiech wspomnienia.

Młodości! dlaczegoż trwasz tylko chwilę i nikniesz jak błyskawica na pochmurnym widoku życia? Czemuż potęga twoja nie trwa od rodzaju do rodzaju?

Rozkoszne dni snuły wtenczas pasmo życia młodzi. Rozkołysany swem szczęściem, nie pomieniałby go z aniołami na ich wspaniałe niebo.

Poważni ludzie! ludzie pracy i obowiązków względem ojczyzny i współrodaków, wy potępicie bezwzględnie te cudne rojenia wiosenne, które Kazio snuł w swojej duszy; wy uczucie to nazwiecie zniechęceniem i miękkością, niegodnym męża. Ależ Kazio był młodzieńcem, upojonym pierwszym zachwytem wiosny. Rzućcie okiem w tył, a jeżeli który z was nigdy nie wpadł w to zaczarowane koło, niechaj ciśnię pierwszy kamieniem.

Miesiąc upłynął od chwili kiedy Kazio pierwsze z Zosią zamienił słowo, poznał to ukochane dziecko, przecuciem duszy odkrył jej duszę, zbadał wszystkie przymioty, wszystkie niedole i pociechy, pił rozkosz z tej twarzyczki cudnej, której nadobne rysy dziewczęce nie ostryły się jeszcze z dzieciennych kształtów. Naiwna jej prostota, nieśmiałość, łagodność, dobroć, rzuciły nań urok, tylko młodym, szlachetnym i wrzącym duszom znany.

Kazio wybiegł właśnie z białego dworku, a był tak upojony szczęściem, iż mu się zdawało że nie stąpa po ścieżkach plantacyi, nie dotyka żwiru, lecz go anioł zachwyty na skrzydłach swoich unosi. Pełną piersią chwytął balsamiczny oddech drzew, a z ust mimowolnie wydierały się pojedyncze słowa bez związku.

Był w tej chwili bogatszym od wszystkich tej ziemi mocarzy, niósł różę, którą Zosia miała we włosach, i pierścionek z Matką Boską, który niewinnym podstępem zdjął z jej paluszka.

I różę i pierścionek przyciskał do wzburzonego miłością serca. Niedosć mu było oboje okrywać poca-

przecież nauk. Zpodwójną gorliwością wziął się do medycyny, chociaż tak sprzecznej z jego obecnym nastrojem. Ale dyplom akademicki otwierał mu wrota do przybytku, w którym rad był jaknajprędzej umieścić panią doktorem.

VI.

Rojenia wiosenne.

Kiedy los złamie lub zwicinnie skrzydła młodości, kiedy świat zgruchocze piedestał marzeń i z górnych sfer strąci w otchłanie przepaści; kiedy wichry boleści zerwą i rozniosą po przestworach kwiat uroczych nadziei i poszarpią w szmaty pajęczą złotych snów tkanek,— wtedy wygnanie na tę ziemię rzucony ściga z niewysłowioną tęsknotą rozpięchłe chwile szczęścia, wtedy miasto krwi wrzącej, toczy się w żyłach powolnie gorzka żółć i poi rozpacz resztki zbyt długiego życia.

Stokroć szczęśliwsi może ci, co nigdy nie burz młodości, ni jej wiosennych dni nie poznali; co okryci potrojnym pancerzem egoizmu, zasnęli duszą i trzęsą się tylko o potrzeby ciała. Lecz ja wolę wiosenne rojenia, z wszystkimi bólami, a niżeli ten nędzny letarg.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 249.

Nie zapominaj kapryśnico, że się możesz na psoty łatwo wystawić.

(Dodatek.)

lunkami; dwa te zadatki szczęścia tulił do nagięj, płocząc piersi, dziwnie doznając rozkoszy. Nie oddałby ich za wszystkie bogactwa ziemi.... Szczęśliwa młodość!!!...

Biegi żywo do swego ustronia, aby jaknajprędzej sam na sam zostać z dwoma talizmanami, które wciąż mu o Zosiuni szeptały, czarując głowę, duszę i serce.

I wśród ciszy, wśród ciemności nocnych, słychać było tylko ogłos szybkich kroków Kazia, a kiedy niekiedy z ust jego wybijał wyraz: *Eureka!*

Czyż był pewny wzajemności Zosi? Nie, on jej słówka o miłości nie szepnął, nie śmiał namiętnym słowem strącać z czystej duszy pyłku niewinności. Opowiadając lub czytając, widział jak jej dusza wznosiła się w błękit, w sfery jej dotąd nieznanne, tam ku Bogu, ku początkowi wszelkich szlachetnych uniesień. Mógł patrzeć na nią, słyszeć jej głos pieszczony, siedzieć obok niej i pieścić się spojrzeniem z powłoczystymi rzęsami, ze zwojami włosów, z puszystą jagodą, pieścić się myślą czystą, żadną ziemską żądzą niepokalaną.

Kazio znalazł swe ustronie przepętnionem; rojenia miłości, rojenia wiosenne zaludniły wszystkie zakątki jego. To widział się szczęśliwym mężem Zosi, panem jej serca, myśli, uczuć, powiernikiem najskrytszych tajemnic; to znów składał u jej stóp rozgłosne sławą imię, lub niezmiernie bogactwa; to znów drżał na myśl, czy jakie przeszkody nie staną mu na drodze, których zwalczyć nie będzie w stanie; to był nędzarzem, któremu wydarto ukochaną i życie sobie odbierał; to znów bogaczem przywalonym skarbem jej cnót i wdzięków, którychby nie oddał za wszystkie skarby i potęgę ziemskich mocarzy.

Zimni ludzie, anatomowie serc, wzruszacie z politowaniem ramionami, bo wszystko tu wydaje się wam blichtrzem, mrzonką, obłąkaniem; boście skrzepowali duszę z ciałem powrozem fizjologii i nie pozwalacie z tych więzów wyrwać się ku niebu uczuciu niezmiernemu. A jednak, na przekór waszym uczonym dowodzeniom, uczucie to istnieje i stanowi najwyższą rozkosz, upominek nieba, przez Stwórcę litośnie rzucony strąconemu ze sfer archanielskich wygnani-cowi.

Kazio był szczęśliwy, bo kochał, choć nie wiedział czy był kochanym. Ta niepewność, pomieszana z nadzieją, z bojaźnią, więcej może warta, aniżeli osiągnięcie celu.

Dumał więc.... przechadzał się i palcami pocałunkami okrywał kwiat i pierścień, a aniołowie zazdrościli mu tej chwili ziemskiego żywota.

Noc ubiegła na tych marzeniach; nad ranem rzucił się Kazio na łóżko, aby znowu wśród snów ujrzeć swoją ukochaną.

Śnij młodzianiel pij z eterycznej czary szczęścia! Zawczasie świat zedrze tę czarowną oponę. Śnij, bo marzenia krótkie naga rzeczywistość spłoszy, aby już nigdy nie wróciły; Śnij, dopóki niepojęta, nadziemską rozkosz wygrywa na wszystkich strunach twego żywota cudowną harmonią, dopóki trwają te, żadnym piórem nie dające się ująć w postać oznaczoną, rojenia wiosenne.

VII.

Pierwsze zwiastuny burzy.

Szybko ubiegały chwile szczęścia, dzień jeden za drugim niły sobie zupełnie podobne, a przecież różne.

A różnicę tę stanowiły wydarzenia drobniuchne, niedostrzegalne dla nikogo, wyjawy dla serca zakochanego.

Jednego dnia zapłonienie się Zosi na widok wchodzącego Kazia, drugiego troskliwe wypytывania się kiedy znów przyjdzie, trzeciego lekka wymówka że się spóźnił o całe pół godziny, czwartego znów coś innego; a każde takie wydarzenie wstrząsało całą istotą biednego chłopca, wystarczało mu na całą dobę marzeń i stanowiło epokę w życiu.

Ludwińscy szczerze polubili, przywiązali się nawet do Kazimrza; macocha widziała jasno miłość jego dla Zosi, ale nietylko nie przeszkadzała rozwinięciu tego uczucia, lecz owszem starała się wszelkimi sposobami przyjąć mu w pomoc. Wyjście na męża Zosi było dla niej pożądane, bo przez nie pozbywała się niepotrzebnego natętu w domu i jednej do okrycia i żywienia osoby. Pieniądze wydane na utrzymanie jej mogłaby obrócić na siebie i swe dzieci.

Co większa, od chwili gdy poznała że Kazio kocha Zosie, że ją może zaślubi, odmieniła zupełnie swę postępowanie względem dziewczęcia: stała się łagodną, dobrą, drugą matką, bo, jak wspomnieliśmy, pani Salomea mięwała napady dobrego serca.

Zosia nie zdawała sobie zupełnie sprawy ze swych względem Kazia uczuć. Lubiła go szczerze, serdecznie, jak brata, jak najlepszego przyjaciela; każde jegosło-

wo było dla niej wyrocznią, a zresztą on, po dziesięcioletnich cierpieniach, wraz z wstąpieniem pod dach rodziców, przyniósł jej pierwszy ulgę. Nieznana swoboda raz zakwitnęła biednemu dziecięciu, i jakże go lubiła nie miała? Lecz uczucia miłości tam jeszcze nie było, może raczej w sercu jej gościło przeczucie. Dopiero pani Salomea zerwała tę zasłonę z oczu Zosi. Raz w dobrém będąc usposobieniu, rzekła do niej:

— Czy ty lubisz, Zosiu, pana Kazimrza?

— O bardzo moja mam, odpowiedziała dziewczeczka.

— To dobrze, to bardzo dobrze, mówiła pani Salomea, bo on ciebie ognieście kocha; sto razy bardziej niż mnie ojciec kochał przed ślubem, i pewnie się w krótkim czasie o ciebie oświadczy.

Gdyby piorun uderzył przed nogami Zosi, nie byłaby może tak zadrżała, jak na te słowa macochy. Szkarłat oblał jej nadobną twarzyczkę; poczęła drżeć ze wzruszenia, a wzrok w ziemię wlepiła.

— Czego drżysz, czego się czerwienisz? zawołała macocha. Spójrz mi w oczy—no! przedź!

Zosia podniosła twarz w górę, a w pięknych jej oczach dwie łzy zabłyśły.

— Ha! ha! ha! jaka ona wyborna, rzekła pani Salomea, jakie niewiniątko! Nie wie niby że dziewczęła na to rosną, aby szyć za męża. I czegoż płaczesz? czy tak źle zostać panią konsyliarżową? Ba, żeby mnie się była taka partya trafiła, tobym nie spojrzała na Kaspra. A po chwili, bawiąc się zakłopotaniem dziewczęcia, dodała: A może ty pana Kazimrza niekochasz.

— Zosia milcząc miętosila w ręku chusteczkę, którą znać.

— Nie gnieć chustki, bo szkoda... A odpowiadaj. Kochasz go, czy nie? no przedź!

— Ja... nie wiem, wyszeptała dziewczę.

— Nie wiesz? a dopiero mówiłaś że go bardzo lubisz. No cóż?

Zosia milczała.

Pani Salomea miała ochotę po dawnemu uderzyć pasierbicę, ale powstrzymała swój gniew, i mruknąwszy tylko: „ciele“ poszła zagniać klusieczki.

Co do pocziwego Kaspra; ten ile razy spotkał którego z serdecznych przyjaciół, (a miał ich bardzo wielu, bo każdy kto tylko z nim parę razy rozmawiał był już przyjacielem) zwykł był mawiać:

— Dzień 29 maja 1850 roku, był dla mnie bardzo pomyślnym, bo poznałem w nim o godzinie 12, minucie 52, kochanego-konsyliarza N., który nietylko synów moich Julka i Stefana uratował od trzeizny na szczyry jaką spożyli, ale jest moim serdecznym przyjacielem; kto to wie może jeszcze czémś bliższem zostanie. Niechno tylko skończy aplikacyą i zostanie nominowanym na rzeczywistego konsyliarza, to może i pomówimy o innej jeszcze nominacyi, i to dwóch naraz osób na jedną posadę.

Ale najnatrętniejsze wypytывania się nie zdołały wydobyć więcej z st pocziwego dziennikarza: milczał jak ekspedycya zapieczkowana.

Jednakże Kraków zanadto małym jest miastem, a żeby w nim coś długo przed okiem natrętnych ukryć się dało; przytém jest to siedziba ploteczek *par excellence*. Widywano Kazia w towarzystwie Ludwińskich na spacerach co niedziela, raz nawet Zosi podał ramię, gdy sprowadzał ją z kopca Kościuszki. Więc też wkrótce gruchnęła wieść, że Kazio oświadczył się Zosi i że czeka tylko na dyplom lekarza, aby ją zaślubić, a może i na to czekać nie będzie.

Inni znów dziwili się że Ludwińscy pozwalają bywać w domu człowiekowi bezwstydnemu co trupy krąży.

Nie dziwnego też że plotki te doszły do uszu matki Kazimrza.

Jednego poranku wybiegła do stodoły kędy stał mąż nad młockami i rzekła do niego.

— Proszę cię *mon cher*, mam ci parę słów powiedzieć.

Pan Stefan wyszedł ze stodoły, a żona, odprowadzając go o kilka kroków dalej, rzekła:

— Czy wiesz, na co się nasz Kazimrz sposobi w Krakowie?

— Wiem, na doktora medycyny; ale raz cię prosiłem żebyś mi żadnych uwag nie robiła; ja chcę żeby był lekarzem i będzie nim, pomimo że pochodzi z Nałęczów i Ostojów.

— Otóż właśnie że doktorem nie będzie, gdyż obrał sobie całkiem inny zawód?

— Inny zawód?

— Tak, on się sposobi na męża, i parsknęła ironicznym śmiechem.

— Co? krzyknął Stefan, a twarz oblała mu purpura, nie, to kłamstwo, plotka, nie wierzę.

— Otóż właśnie że nie plotka, wiem od najlepszych

przyjaciół, a równocześnie otrzymałam ostrzegający anonim. Czytaj.

— Gardzę anonimami i wcale czytać nie będę. Kto ci mówił?

— Najprzód Celestyn.

— To plotkarz i oszczerca.

— Potém pani Makarowa.

— Idem... plotkarze i nie więcej.

— I ksiądz Rafał...

— I ksiądz Rafał... ha, więc to musi być prawda.

Zamyślił się starzec a potém rzekł: Eh! głupstwo, pustota młodzika... Każdy z nas przebodził tę ospę, epidemią zenienia się, a przecież nie ożenił się od razu.... Miłostka jakaś... wiele hałasu o jedno nic.

— Śliczne mi nic, zawołała zapierzona pani Stefanowa; przesiaduje po całych dniach u jej rodziców, włóczy się, publikuje z nimi po mieście, kompromituje nas i siebie, a o swoich naukach pewnie tak myśli jak ty o koronie hiszpańskiej. Tam nawet, jak mi mówiono, podobno bardzo daleko zaszło...

— Ha, muszę jechać, przekonać się... bo jeszcze uwierzyć nie mogę. I któż to ma być... ta... ta... jego...

— Córka jakiegoś mizernego urzędnika... mieszczańka... modniarka... czy coś; jedném słowem jakaś zręczna i wytrawna kokietka. Złapała chłystka i chce go wykirować na męża. Ani się spostrzeżesz jak będziesz miał synową, ha ha ha! nie trzeba było szlacheckiego dziecka kierować na cyrulika. Dobrze ci tak.

Pan Stefan nie odrzekł słowa, ale drżąc cały z gniewu, siadł na bryczkę i pojechał do miasta.

VIII.

Ojciec i syn.

Kazio siedział przy stoliku... siedział i pisał coś na prześlicznie zdobnym papierze... przed nim leżał pierścionek skromniutki, ale snąc świeżo wyszły z pod ręki jubilera; zdobiła go niezapominajka z turkusów z perełką w środku. Zbliżał się dzień urodzin Zosi, kazał więc zrobić ten pierścionek i napisał wierszyk pełen ognia, siły, uczucia. W wierszyku tym skróślony był obraz Zosi zachwycającymi barwami i oświadczenie Kazia że ją kocha nad życie, że pragnie z nią przebież ten świat pełen szczęścia i smutku, rozkoszy i boleści.

Talent poetycki, wychwalany w szkołach przez kolegów, miłość zbudziła na nowo... Napisał wiersz piękny. Ale oddać brakło odwagi. Czy Zosia przyjmie pierścionek, zakład wiary?... czy nie obrazi jej ten wiersz namiętny?... czy godziło się niewinnemu dziewczęciu mówić tak gwałtownie o miłości? Oto trudności nad którymi rozmyślał Kazio.

Wtém otworzyły się drzwi i wszedł pan Stefan. Kazio zerwał się z miejsca, rzucił nieczęcznie arkusz papieru na pierścionek i wiersz i zaczerwieniony, zmieszany poszedł naprzeciw Ojca.

— Coś o nas zapominasz, rzekł pan Stefan. Kurs się skończył, od ośmiu dni macie wakacje; dlaczego nie przyjeżdżasz? Matka wciąż dopytuje się o ciebie.

— Kochany ojciec, miałem... to jest mam jeszcze niektóre rzeczy do załatwienia... dopiero w przyszłym tygodniu...

— Słuchaj Kazimrze, nie jestem przyzwyczajony do słuchania z ust twoich kłamstw; nauczyłem cię mówić prawdę, i prawdy chce, rozumiesz!

— Ojciec...

— Czy nie wstydzisz się nędznych wybiegów? Wiem o wszystkiém... chcę prawdy.

Potém wziął syna za rękę, posadził go naprzeciw siebie i patrząc mu bystro w oczy, zapytał:

— W kim się kochasz.

Kazio siedział jak skamieniały; nagle zjawienie się ojca i naglejsze jeszcze zapytanie, rozstroili go zupełnie... nie mógł ust otworzyć. Podczas miesięcznej miłości nie pomyślał ani razu o ojcu, nie przyszło mu nawet do głowy że i on może tutaj wtrącić swe słowo. Kazio milczał.

— Czy będziesz łaskaw mi odpowiedzieć, zawołał Stefan gwałtownie. W kim się kochasz?

— Jestto młodzichna panienka, córka urzędnika; dziewczę skromne, cnotliwe, pracowite, prawdziwy anioł... Och gdybyś ją poznał ojciec!

— Jak się nazywa ojciec tego anioła i czém jest?

— Kasper Ludwiński, archiwista izby obrachunkowej, człowiek bardzo żący.

— Jak dawno trwa ten romans? czy dawno u nich bywasz?

— Od czterech miesięcy.

— Spodziewam się po twoim charakterze, żeś poszanował honor panienki i nie takiego nie zaszło, coby...

— Ojcie! ojcie! zawołał z uniesieniem Kazio, na miłość Boską co mówisz? jak możesz nawet przypuszczać... sama taka myśl znieważa tę czystą niepokalaną dziewicę. Oh, ja ją kocham, kocham nad życie, poświęcę jej wszystko co mam, co mieć mogę; dla niej, tylko dla niej żyć pragnę. Ona tak niewinna, ona nawet nie domyśla się że ją kocham!...

— Hm! hm! gorączka coś bardzo gwałtowna. Więc się jeszcze nie oświadczyłeś.

— Ależ mój drogi ojcie, ja jej nie śmiałem nawet powiedzieć że ją kocham.

— Co? od czterech miesięcy bywasz co dzień i nie powiedziałeś jej tego... to nieprawda. Czy znowu uciekasz się do fałszu? rzekł cierpko pan Stefan.

— Najszczęśliwsza prawda: wyznaniem mej miłości nie śmiałem kłaść tej czystej duszy.

— Wiele ma lat?

— Za tydzień skończy szesnaście.

— To dziecko prawie.

— I to do tego sierota, dręczona od złej macochy... nieszczęśliwa... Ach mój ojcie, gdybyś ją poznał, gdybyś zbadał tę czystą duszę, pokochałbyś ją jak córkę!

— Słuchaj Kazmirzu, nie jesteś młodzikim; skończyłeś przed miesiącem lat 24, powinieneś mieć rozum. Jeszcze nie jesteś niczym, za rok, a może za półtora ledwie, zostaniesz lekarzem. Kto niema stałego utrzymania myśleć o małżeństwie nie powinien, jeżeli jest człowiekiem uczciwym, jeżeli nie chce zgubić tej którą kocha. Całe twoje postępowanie jest nietylko niedorzeczne, ale i nieuczciwe. Zawrócić głowę młodej panience łatwo, a łatwiej jeszcze uczynić ją nieszczęśliwą; tego spodziewam się nie masz zamiaru zrobić.

— Och mój ojcie!

— Otóż widzisz, że źle robisz bywając tam i łudząc ubogą rodzinę nadziejami, których spełnić niepodobna. Zanim zostaniesz lekarzem, zanim wyrobisz sobie stanowisko, praktykę, kilka lat upłynie; do czegoż więc to wszystko? Przecież pamiętaj że masz obowiązki, masz matkę, masz siostrę. Ja jestem stary, nie pożyczę długo; rany otrzymane przy napadzie na naszą wieś zniweczyły me zdrowie, a szczerze mienie nie wystarczy na utrzymanie matki. Dziś z największą pracą zaledwie z tych kilkudziesięciu morgów dzierzawy tyle wydobyć mogę, że nie cierpimy głodu, a po mojej śmierci matka i tego nie potrafi. Na tobie cała jej przyszłość; o ożenieniu więc bezposadnie myśleć nie powinieneś, a mam nadzieję że ożenisz się dobrze i bogato.

— Nigdy! nigdy! zawołał Kazio. Nikczemny taki mężczyzna, co chce żyć posagiem żony. Jestem młody, zdrowy, mam głowę i ręce do pracy, potrafię utrzymać rodzinę.

— Romanse, poezja i deklamacya!... Sam kiedyś śmiać się z nich będziesz.

— Czy wiesz jak okropnym jest życie męża i ojca, kiedy nie może zaspokoić potrzeb najdroższych istot, kiedy widzi jak je trapi głód, zimno, nędza? czy wiesz jaka to boleść, gdy patrzysz na wędrowną śród niedostatku i chorób żonę? czy takiego szczęścia pragniesz dla tej, o której mówisz że ją kochasz nad życie.

— Ojcie! tysiące ludzi żeni się ubogo, a przecież żyją szczęśliwie, przecież dorabiają się lepszego bytu. Od czegoż rozum i praca?

— Mówisz jak młokos, który tylko z pięknej strony patrzy na życie. Idź do tych ludzi, których mi stawiasz za przykład i spytaj ile przeboleli na świecie, jak nędzne, pełne cierpienia i gorczy życie.

Rozum i praca nie zawsze wystarczają; najgorliwsze zabiegi, najlepiej obmyślane środki, wszystko to na nic, jeżeli los się uweźmie, jeśli ci wyrwie z rąk ostatnią deskę ratunku. Na świat nie licz, bo świat cię odepchnie.

— A Bóg? ojcie, a Bóg?!

— Bóg za wysoko, odrzekł ponuro ojciec. Zresztą, mówił dalej, trzeba by wprzód coś dla współziomków uczynić, póki jeszcze nie jesteś związany. Ja nie chcę żebyś się żenił, nigdy na to nie pozwolę i zakazuję ci pod niebłogosławieństwem bywać dłużej w tym domu.

— Ależ kochany ojcie... to być nie może.

— Co! co! być nie może! Ja chcę... ja każę... rozumiesz!

— Ojcie, rzekł Kazio, zbliżając się do pana Stefana i całując z uszanowaniem jego rękę, ojcie, nie wydawaj takiego rozkazu, którego spełnić nie mogę. Ja cię czczę, wielbię, ja pragnę zawsze być posłusznym synem, a ty ojcie stawiasz mnie w fałszywym położeniu, które mnie może na inną drogę zepchnąć. Proszę cię na wszystko, odwołaj ten zakaz, bo nie zdołałbym go wykonać.

— Dość tego, rzekł ojciec, przestańmy mówić, bo się obadwa nie zrozumiemy. Trzebaby mnie mieć lat 20, albo tobie 60, aby nastąpiła zupełna zgoda. Teraz proszę cię, spakuj trochę bielizny i rzeczy, biorę cię na wieś.

— Ale mówilem ci ojcie, że mam jeszcze niektóre rzeczy do załatwienia i...

— Kazmirzu, rzekł ojciec, biorąc go za rękę, idź prostą drogą... nie uciekaj się do... no już nie chcę powiedzieć do czego. W tym względzie musisz mi być posłusznym, proszę cię o to.

— Dobrze mój ojcie, ale wróć, ja muszę wrócić.

— Oh wróćisz, dla czegożby nie. Bądź dobrej myśli. Przyjdę tu niezadługo. Tylko proszę cię nie odchodzić ani na krok, bo nie mam czasu czekać. Wszak nie odejdziesz?

— Nie.

— Słowo?

— Słowo.

Pan Stefan wyszedł.

Kazio rzucił się na sofę, zakrył oczy i siedział jak posąg skamieniały. Teraz dopiero ujrzał ogrom przepaści jaki go rozdzielał od Zosi. Aż dotąd szedł śmiało naprzód, nie widział nic przed sobą, tylko w odległości białą postać swego anioła, ze złotym pierścieniem niewinności nad głową. Biegł więc ku niemu z gorącą pierśią, z wyciągniętymi rękami i nagle znalazł się nad brzegiem głębokiej otchłani, której nie przeczuwał istnienia. Zejść w nią, czepiając się stromych urwisk i stawiając ostrożnie krok za krokiem, to wymagało długiego czasu, rzucić się i skończyć przebieg, zagrażało straceniem na dno... co robić? co robić?

Gniw, zakaz ojca nie zrobiłyby na nim tak silnego wrażenia, bo chociaż wychowany w staropolskim rygorze, od dziecka do ślepego przyzwyczajony był posłuszeństwa, przecież czuł że miłość i rodzicielskie wyrozumienie zdolają przełamać zimne rachuby rozsądku. Lecz słowa starca zarzucające mu nieogłębność, a nawet nieuczciwość w postępowaniu, boleśnie wduśnięte ugodziły: „Kto niema stałego utrzymania, o małżeństwie myśleć nie powinien, jeżeli jest człowiekiem uczciwym, jeżeli nie chce zgubić tej którą kocha.“ Wraz z tym brzmiały w uszach Kazia, a nie mógł znaleźć środków do ich zwalczania; nasuwało się mnóstwo sofizmów, lecz wiedział że to sofizmata i sam siebie oszukiwać nie chciał.

— Cóż uczyniłeś, nędzny? mówił sam do siebie, biedny marzycielu, zatrąłeś jej życie... Trzebaby coś dla kraju, dla współziomków uczynić... a coż dotąd zrobiłeś? Ale nie, ja jej wyrzec się nie mogę... ja takiej drugiej Zosi na całej kuli ziemskiej nie znajdę... Przecież i mając żonę można pracować dla dobra ojczyzny... to rzecz najmniejsza; świętego tego obowiązku żadne stosunki rodzinne zwiechnąć nie zdolają. Mogę też matce i siostrze nieść pomoc... Ale z czegoż utrzymam żonę?... Czekać na wyrobienie stanowiska, praktyki, to trochę za długo i tymczasem porwie mi ją ktokolwiek, bo macocha nie będzie chciała czekać; ona by dziś jeszcze rada jej pozbyć się z domu, ona ją wyda za pierwszego lepszego co się trafi... A Zosia? Zosia jeszcze zanadto dziecinna, zabardzo się lęka, żeby się mogła na opór zdobyć!

Zresztą alboż ja wiem czy mnie kocha? Cztery miesiące straciłem na niczem. Przeklęta nieśmiałość!... Co tu robić? co robić? Ha, trzeba jaknajprędzej kończyć medycynę, a potem... potem Bóg poprowadzi tę sprawę.

I wziął się do pakowania rzeczy.

IX.

Pan Stefan i pani Salomea.

Tymczasem jeden z usługujących przyjaźniół wiodł pana Stefana do białego dworku na przedmieściu. Był to jeden z tych norkowników, co dla śniadanka gotowibycy astronomicznie, śledząc gdzie się najgłębiej z komina kurzy. Pan Walenty oczernił, oplwał za kiłszek wina całą rodzinę Ludwińskich. Pana Kaspę, swego biurowego kolegę, nazwał głupcem i niedołęgą, którego żona za nos wodzi; panią Salomeę plotkarką, intrygantką, ordynarną złośnicą, kobietą bez wychowania, gadatliwą kumoszka, która sobie parol zagięła na Kazia i na spadek po rodzicach; a Zosię, tego anioła czystości, to kochane dziewczę, kokietkę, zalotnicę bez serca, umiejącą wybornie odgrywać rolę niewiniątka, której jąrzecznie macocha nauczyła.

Rozsądne ale szlachetne myśli ojca Kazmirza inny przez to wzięły kierunek. Szedł sapiąc i zrymując się, oburzony do najwyższego stopnia, z zamiarem zwalania odrzucając intrygę, zbudowanego przez podstępna rodzinę dla pozabawienia go syna.

Na dwieście kroków od dworku, Walenty zatrzymał Stefana i wskazując mu biały dworek, rzekł:

— To tam, panie dobrodzieju, po lewej ręce jak pan wejdzie do sieni. Ja dalej iść nie mogę, boby mi ta baba dostrzegła i zaraz zrozumiała o co rzecz idzie. Miałbym potem jaką awanturę na środku rynku... Ho! ho! to jejność, niech się schowa przekupka ze Szczepańskiego placu. Upadam do nóg, całuję stopeczki pana dobrodzieja; miło mi że mogłem te maleńkie przysługi panu dobrodziejowi wyświadczyć.

I odszedł śpiesznie.

Pan Stefan szedł szybkim krokiem, cały wzburzony. Po chwili już był we drzwiach mieszkania.

Pani Salomea obcierała z kurzu filizanki, Zosia kłotała w tamborku.

— Czy tu mieszka pan Kasper Ludwiński? rzekł, nie skłoniwszy nawet głowy.

— Tutaj, proszę pana bliżej. Ja jestem jego żoną; ale jeżeli pan ma jakiś interes, to lepiej pofatygować się do kancelaryi, do izby obrachunkowej, bo mój mąż tam pracuje.

— Interes jest taki, że możemy o nim bez męża rozmówić. Tożapewne pani córka.

Zosia podniosła głowę, a była tak piękna, tak słodko spojrzęła, że staremu sercu w piersi zadrgało i jakiś przychylna myśl doń zapukała. Ale odepchnął ją żywo i mruknął sam do siebie: teraz się nie dziwię że się chłopak złapał, śliczna dziewczyna... Ktoby pomyślał że to taka wyrafinowana kokietka?

— To moja pasierbica Zofia. Czegoż pan dobrodzieś sobie życzy.

— Interes jest tak ważny, rzekł pan Stefan, że konieczne trzeba abyśmy zostali sami.

— Zosiu, idź z tamborkiem do ogródka.

Zosia wstała i wyszła, ale serduszek jej mocno biło, jakby przeczuwała że o niej będzie mowa. Pan Stefan przeprowadził ją wzrokiem aż za drzwi, a potem powtórzył mimowolnie pytanie:

— To więc jest pani córka?

— Mówiłam już panu, że to moja pasierbica, rzekła pani Salomea, którą i sposób obejścia się inatępne wpatrywanie się w Zosię poczynało gniewać. Zresztą, do dała, co tam pana ma moja pasierbica obchodzić? Spodziewam się że nie o niej mówić będziemy.

— Właśnie o niej, rzekł powolnie pan Stefan.

— Co? zapytała z niezmiernym zadziwieniem pani Salomea, o niej? A skądże pan znasz naszą Zosię?

— Jestem Stefan N...

— Ah! czy nie ojciec pana Kazmirza?

— Tak jest, jestem ojcem Kazmirza.

— Bardzo się cieszę z poznania pana i w istocie dziwię się że tego się od razu nie domyśliła. Panowie jesteście tak do siebie podobni... Oh zacny to chłopiec ten syn pański; a jaka otwarta głowa, jaki to doktor będzie, jak mi prędko moje dzieki od śmierci uratował, moje biedne robaczki!...

— On?

— Nieinaczaj, czyż panu o tym nie mówił?

— Nie wcale.

— To ja panu powiem.

I opowiedziała ze wszystkimi szczegółami otrucie się dzieci i ich uratowanie, a potem, widząc że pan Stefan spokojnie słucha, zapytała go:

— Pan zapewne dlatego życzyłeś sobie wyjścia Zosi, żeby nie słyszała naszej rozmowy?

— Tak.

— I przychodzisz ułożyć się z moim mężem o to małżeństwo. Ale chociaż go niema, to nic nie szkodzi; co ja powiem, to tak jak gdyby Kasper powiedział. Zresztą on nie będzie miał nic przeciwko temu, bo pana Kazmirza bardzo polubił. Ja też zupełnie się nie sprzeciwiam; dziewczyna ostro przeze mnie wychowana, przyuczona do pracy, skromna, cicha, niegadliwa, niezwykajna ani strojów, ani zbytków; bo nie trzeba panu powiadać, że przyszczuplę pensyi, 2000 złp. i 500 dochodu z dworku na rok, zbytków robić nie możemy. Uczyla się przez trzy lata w klasztorze u stęj Katarzyny; zna się doskonale na gospodarstwie, tylko że jeszcze za młoda. Ho, ale nim syn pański skończy swoje nauki, to będzie w sam czas; a my tymczasem wedle możności pomyślimy o wyprawie skromnej.

— Więc już tak daleko zaszło, zawołał zrywając się pan Stefan, więc potrafiliście swymi pochlebstwami przynęcić niedoświadczonego młodzika, żeby wbrew mojej woli zawierał związek dla niego niestosowny, na który nigdy nie pozwolę? Oświadczam pani wyraźnie, że się mój syn nigdy z jej pasierbicą nie ożeni i ostrzegam wcześniej, żebyście się potem nie skarżyli że wam zrobił zawód.

— Co? co? a to znowu co za mowa? Komuż to pan takie rzeczy gadasz? Myśmy przynęcić syna pańskiego? A któż go prosił żeby u nas bywał? Sam się wkroczył, sam zaczął zawracać głowę dziewczęciu. Kto go tu potrzebuje? co pan sobie o nas myślisz?— My biedni ludzie i ciężko oboje pracujemy, ale jesteśmy uczciwi. Czy sądzisz pan że Zosia nie dostanie męża, jeżeli nie pójdzie

za twego syna? Czy myślisz że tak pragniemy tego małżeństwa? Jeżeli ją pokochał, to niema się co dziwić, to dziewczyna złoto; ale my ani pana, ani pańskiego syna nie potrzebujemy tu wcale. Ja go nie wypuszczę więcej do swego domu, drzwi mu pokażę, rozumiesz pan! Możesz go sznurkiem przywiązać, żeby nie uciekał, bo to do ojca, a nie do mnie należy.

— Proszę więc dotrzymać słowa i wymówić mu dom, bo jeszcze raz powtarzam, że z tego małżeństwa nie będzie, rzekł pan Stefan i skłoniwszy się zimno, wyszedł; ale jeszcze w sieni dolatywał go głos rozgniewanej pani Salomei:

— Proszę, jacy mi wielcy państwo! zbankrutowana szlachta! ambicji za sto tysięcy, a w kieszeni pustki... Schowajcie sobie swego gagatka... drzwi mu zatrzaskę przed nosem... impertynent stary... Żałuję że go nie wyrzuciła za bramę.

W pół godziny potem toczyła się skromna bryczka gościncem białym, a na nim siedział pan Stefan, otoczony kłębami dymu tytoniowego, i Kazio wsparty na ręce, w której ukrył oczy. Obadwaj milczeli jak posagi.

X.

Dwa listy.

Sześć dni szybko ubiegło... Przez ten czas Kazio wybladł i ponury, rzadko i tylko w razie koniecznej potrzeby, zamieniał z rodzicami i siostrą słowa. Raz tylko z siostrą miał żywszą rozmowę, gdy mu zaczęła czytać uwagi, aby zastanowił się nad tem co robi, dlaczego martwi rodziców. Odpisał ją cierpko i krótko, prosząc aby się raczej sobą zajmowała.

Szóstego dnia przed wieczorem szedł Kazio drogą ku laskowi, w którym zwykle całe dnie przepędzał. Niedaleko za folwarczkiem napotkał obdartego chłopca, który skłoniwszy się rzekł:

- Proszę pana, czy to tutaj Kąty?..
- Tutaj, a czego chcesz mały?
- Ja mam interes do jednego młodego pana z Krakowa, co tu bawi.
- A jak się ten pan nazywa?
- Pan Kaźmirz N., co się uczy w Krakowie na doktora.
- To ja jestem. Jaki masz interes?
- Jeden pan z miasta urzędnik, dał mi list do pana; ale to taki ogromny kawał, przeszło mila drogi... i tylko dostałem złotówkę.
- Dawaj prędzej ten list.
- To od jednego pana, co mieszka w dworku za plantacyami, rzekł chłopak wydobywając list pomięty z zanadru; kazał mi do własnych rąk panu oddać. Ale proszę pana na piwo.

Kaźmirz rzucił chłopcu złotówkę, a sam pochwycił list, rozerwał pieczęć i czytał co następuje.

Kraków, dnia 22 września 1853 roku.

Szanowny panie Kaźmirzu!

Przykra wizyta, którą w dniu 17 września 1853 roku, o godzinie 11 przed południem, ojciec pański, piękne wymówki czyniąc mojej żonie, oddał, zmusza mnie do zreferowania tych kilkunastu wierszy. Moja żona jest bardzo obrażona, a córka za wszystko cierpi, bo żona moja robi jej bardzo nieprzyjemne wymówki i nawet co gorszego. Ja nie rozumiem co ojciec pański ma do mnie, bo:

Reskryptem b. rządzącego senatu, wolnego niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa i jego okręgu, z dnia 13 czerwca 1837 roku do nr. 5274, mianowany byłem aplikantem bezpłatnym przy wydziale dochodów publicznych i skarbu. Następnie,

Reskryptem tegoż senatu, z d. 23 września 1839 do Nr. 8751, otrzymałem nominację na kancelistę w b. biurze rachuby, z pensją 1200 złp. rocznie, i wtenczas zaślubiłem sobie pierwszą moją żonę Elżbietę z Radkiewiczów.

Nakoniec:

Dnia 29 lutego 1846 r. reskryptem tegoż senatu rządzącego, z d. 8 lutego 1846 r., do Nr. 1212, mianowany zostałem w témże biurze dziennikarzem, z pensją złp. 2000; i na której to posadzie przez reskrypt b. komissji nadwornej, pod prezydencją hr. Deym, z d. 13 marca 1848 roku do Nr. 9899, utrzymany i zatwierdzony byłem; za organizacyi zaś pozostawiono nas dwóch na dawnych posadach, z tą samą pensją, aż do wysłużenia emerytury, mnie i archiwistę głównego Tadeusza Sobieradzkiego, reskryptem gubernatora Galicyi, z d. 14 kwietnia 1855 r. do Nr. 17587.

„Więc pojąć nie mogę co ojciec pański może mieć

przeciwko nam, kiedy rząd dawniejszy i obecny nie nigdy przeciwko mojej osobie nie miał.

„Rozważając bywanie ciągłe w domu naszym, od dnia 29 Maja 1853 r., pojmowałem, że pan dobrodziej, jako młody człowiek, znalazłes upodobanie w mojej córce Zofii, ale nie wiedziałem wcale, że pan dependujesz od woli rodzicielskiej, która w rzeczonyj materji jest zdania przeciwnego, i nam bardzo boleśnie a niezastępowanie ubliża, oskarżając o jakieś intrygi.“

„Zważywszy więc powyższe powody, po odbytej naradzie z moją drugą żoną Salomeą z Puklizantów, mam honor upraszać, ażebyś pan tak dla swego, jako i dla naszego dobra, w domu naszym zaprzestał bywać, a serce dobre dla nas zachował, gdyż nigdy za uratowanie naszych dzieci, wdzięcznymi być nie przestaniemy.“

Najżyczliwsi studzy,

Kasper i Salomea z Puklizantów Ludwińscy.

List ten Kazio przebiegł przy zmroku zapadającego wieczora: boleść przeszła mu serce; nie wiedział o bytności ojca u Ludwińskich, i właśnie na jutrzejszy dzień chciał wymknąć się do Krakowa. Teraz już mówić z ojcem było niepodobniestwem; bał się aby w burzeniu nie uchybił siwym włosom ojca. Ale nie było czasu do stracenia: pobiegł do swego pokoiku, siadł i napisał w uniesieniu:

Najukochańszy Ojcze!

„Nigdy nie przypuszczałem, abyś nie powiedziawszy mi słowa, był w domu Ludwińskich i pocziwiał tych ludzi o podstęp i intrygi względem mnie obwiniał.

„Boleść to dla mnie niewypowiedziana, krzywdą ciężką, którąś zapewne w najlepszych celach, drogi ojcze, synowi swemu wyrządził.

„Oni w niczem przeciwko tobie nie zawinił; wszystkiemu ja jestem winien. Urząłem i ukochałem Zosię nad wszystko w świecie; nie jest to namiętność chwiloowa, ale miłość czysta, silna i wieczna, bo oparta nie na przemijających wdziękach, ale na przymiotach duszy tego drogiego dziewczęcia. Nigdy—nigdy jej się nie wyrzeknę! Kocham cię, czczę, szanuję, najdroższy ojcze, ale miłość ta tak przepelnia moje serce, że raczej umrę, niż zdołam ją zapomnieć. O życie nie idzie mi wcale; mam tak żyć, to lepiej niech się raz skończy: albo będę mężem Zosi, albo trupem! Bez twego błogostawieństwa nie ożenię się, ale jeśli mi go odmówisz... umrę!

„Drogi, ukochany, najmilszy ojcze! zlituj się nad swoim dzieckiem. Wszak sam kochałeś, kochałeś moją matkę, i mimo największych przeszkód ze strony jej rodziców, ożeniłeś się z nią. Sam cierpiełeś, bądźże miłośniernym dla dziecka. Ojciec mój! raz jeszcze w imię wszystkiego co dla ciebie najświętszem, zaklinam cię, bądź dla mnie miłościwym!“

„Odpowiedzi twój czekam w Krakowie.

Najprzywiązany syn Kaźmirz.

Po napisaniu tego listu, złożył go na biurku ojca, przy którym zwykły był wieczorami zapisywać całodienne czynności gospodarskie, poczem schwycił gorączkowo rzeczy i małe zawiniątko układać zaczął.

W pół godziny potem pan Stefan, zmieniony, błądł wpadł do izdebki Kazia, trzymając list w ręku.

Kazia już nie było.

(Dalszy ciąg nastąpi).

IBRAHIM STRASZ,

Polak renegat, dyplomata XVI wieku.

(Dokończenie).

Poselstwo Bzickiego niedługo bawiło się w Carogrodzie. Nie wyszło trzech tygodni, a już się w powrotną podróż Polacy zabierali. Otwinowski opisuje w swojej relacyi stolicę turecką, ale już nie wspomina nie o swoich stosunkach ze Straszem, czy je miał, i jakie były. Na pożegnaniu tylko posłuchaniu wydarzyła się okoliczność, która była Otwinowskiemu powodem do jednego jeszcze wspomnienia o Straszku:

„Ja też, którym po wszystkich na ostatku do cesarskiego gmachu wchodzić miał, opowiada Otwinowski, z onęj bramy gdzieśmy wszyscy stali, gdzie ewnuchowie siadają (bom dlatego zostawał po drugich abym się tém dłużej przypatrzył), gdy już do drzwi, przychodził (bo we drzwiach za ręce biorą), Strasz, najwyższy tłumacz cesarski, który tam u drzwi stał, ujrzał u mnie za pasem główkę kosztowną od noża, którą trochę było widać, wnet mnie przestrzegł nieznacznie, abym on nóż zakrył, co łatwo było jeno trochę na dół ruszyć, w czémby mnie był znać nie przestrzegł, mogłaby była jaka trudność być, bo tam żaden cudzoziemiec i noża przy sobie nie miał do cesarza idąc, dlatego iż tam kiedyś cesarza w wita-

niu zabito. Skoro tedy po całowaniu ręki cesarskiej, który compositissime na stołku siedząc, człowiek poważny i letni, do królewskiego starego dworzanina najpodobniejszy, prędko się tam pan posel odprawił, gdyż tam wielkiej mowie miejsca niemasz; witanie było krótkie, ale zegnanie i pół ćwierci godziny nie było, bo ledwośmy na swém miejscu stanęli, gdzieśmy jedli, alie posła od cesarza prowadzą. A tak przyjechawszy do gospody, gotowaliśmy się z wielką ochotą i radością w drogę i byłem tego dnia u Baptysty Włocha w ogrodzie na salacie z p. Barnickim, z p. Prandotą Wilczopolskim, który mnie tam był prosił, wiedząc że był sługą pana wojewody krakowskiego, który mi też list był do niego dał.“ (Podróż, jak wyżej, str. 30.)

Pan Baptysta hojnie przyjął swoich z orszaku poselskiego zaopatrzyl na drogę, w małmazję, muskatele, oliwę i korzenie. (Podróż i poselstwa str. 20.)

Podróż odwrotna trwała cały październik. Dopiero 5 listopada w Lublinie oddał Otwinowski listy wojewodzie krakowskiemu od Strasza i Kierdeja. (Tamże str. 40.)

W kilka lat potem Ibrahima Strasza widzimy na poselstwie we Frankfurcie nad Menem. Było to w czasie pobytu w tém mieście głośnego w dziejach reformacyi Daniela Gresera, autora książki pod tytułem: „Historia und Beschreibung des ganzen Laufs und Lebens, Herr Daniel Greser, Pfarrer und Superintendent in Dresden, von ihm selbst schlecht und einfeltig zusammenbracht.“ Dwa razy Greser był we Frankfurcie z księciem elektorem saskim, jako jego nadworny kapelan: raz, kiedy obierali Niemcy cesarzem Ferdynanda po Karolu V w r. 1558, i drugi raz, kiedy ciż sami Niemcy, w obecności Ferdynanda, jego syna Maksymiliana koronowali na cesarstwo, co było w r. 1562. Otóż za téj drugiej widać bytności Gresera, pojawił się we Frankfurcie posłem tureckim Strasz, Abraham Struza, jak go Greser nazywał. „Do téj prerogatywy przyszedł, pisze Niesiecki o Straszku, że w najprzedniejszych legacyach do panów europejskich był zażywany, osobliwie w r. 1562 do Ferdynanda cesarza w Frankfurcie nad Menem poselstwo swoje sprawował.“

„We Frankfurcie widziałem także poselstwo tureckie i posła, który się nazywał Abraham Struza, opowiada Greser. Mówiono o nim wtedy, że był Polakiem, że odstąpił od wiary chrześcijańskiej i że stał się Turkim. Poszedłem do téj gospody na przedmiesciu, w której stał, i z tymi Turkami, którzy po łacinie mówić mogli, o wielu rzeczach rozprawiałem. Ale z samym posłem Abrahamem Strazą, nie mogłem mówić, był to albowiem piątek, dzień u Turków uroczysty, więc posel odpoczywał sobie i spał. Widziałem tylko, że miał służbę z różnych narodowości: Wołochów, (Welsche), Niemców i Moskowitów. Był nawet taki jeden w jego orszaku, co we Frankfurcie miał matkę. Nie mogła go na żaden sposób namówić matka, żeby z nią we Frankfurcie został i znowu do wiary chrześcijańskiej powrócił; chociaż go prosiła oto, nie chciał, ale odpowiadał, że mu dobrze u Turków, powrócił więc napowrót z nimi do Budy w Węgrzech.“

Ważne bardzo było to poselstwo Strasza. Tylko co stanął pokój pomiędzy cesarzem a Turcją, za pośrednictwem sławnego owych czasów dyplomaty, z powodu którego mawiał cesarz: „tylko ambasadorowie flamandcy użytecznymi są dla cesarstwa niemieckiego.“

Poprzednio posel francuzki Lavigne przez intrygi serajowe pozabawił Strazę urzędu tłumacza przy Porcie; było to za wezyrostwa Rustema zięcia sultanańskiego. Może nie po raz pierwszy spotykała taka niełaska Strasza, przynajmniej słowa jego Otwinowskiemu powiedziane w Carogrodzie, że musi się mieć na baczności, do takiego domysłu upoważniają. Strasz występował widać przeciw Turcyi, za cesarzem, i stracił dlatego chwilowo posadę. Ale po śmierci Rustema, wezyr Ali, renegat słowiański jak tamten, zaraz na początku swojego urzędowania pokój zawarł z cesarzem, poświęciwszy sprawę Zapolskiego i Węgier. Busbek uprosił Alego, żeby Ibrahima beja do godności przywrócił. Widocznie tu znowu wynagradzał przywiązanie Strasza do sprawy cesarskiej. Wy mógłby to, prosił Busbek również o wolność odjazdu z Carogrodu, gdyż śpieszył się z powrotem do cesarza. Stało się pomiędzy nimi a wezyrem, że Strasz przywiezie dokument pokoju turecki Ferdynandowi. Tak się złożyło owe frankfurckie poselstwo. Wiózł Strasz w podarunku cesarzowi cztery wielbłądy, konie, książeczkę z balsamu, (Balsambüchsen) dywan, dwa srebrem nakładane strzemiona i dwie misy agatowe. Gdy cesarz pokój zatwierdził w Pradze 1 czerwca, Strasz w listopadzie do Frankfurtu przybywał.

Dokument pokoju turecki różnił się od łacińskiego w kilku ważnych ustępach, ale na korzyść Węgrów i sultana. Nadto przywoził ze sobą Strasz nowe zadanie. Upominał się wezwrócić o 49,000 dukatów, jako o zaległość trzechletniego haraczu i od tego spłacenia robił zawisłym uwolnienie jeńców, których don Alvaro Hiszpan miał wykupywać. Bawił Strasz 13 dni we Frankfurcie. Miał mowę do cesarza po słowiańsku, w obec stanów cesarstwa, 27 listopada; oddał dwa listy, jeden swój wierzytelny, drugi dokument pokoju, i wtenczas to wykryły się różnice ich od cesarskich. Te dokumenta w złej łacinie, na wygładzonym papierze, zasypane były piaskiem złotym, który jeszcze za Hammera mocno się trzymał pisanych wyrazów. Po tym pierwszym posłuchaniu, miał Strasz drugie, 13 grudnia, w sam dzień odjazdu cesarza z Frankfurtu. Cesarz pojechał do Spiru i ztamtąd dopiero przysłał na piśmie odpowiedź Straszowi i listy wierzytelne. Odpowiedzi taka treść była, że cesarz, namyśliwszy się, da znać swoje zdanie co do żądań sultana przez umyślnego posła, który do Carogrodu zjedzie; że o jeńcach każe powziąć wiadomości; że naprawi się łatwo to czego brak w akcie tureckim; ważny punkt o 49,000 dukatów pominięto milczeniem. W traktacie Busbeka cesarz obiecał 30,000 haraczu płacić corocznie sultanowi, stare więc rachunki rad był puścić w niepamięć, chociaż Busbek ustnił coś obiecywał względem tej zaległości i na tej zasadzie upominał się o nią sultan. Straszowi przytem obiecano podarunki takie, jakie cesarz płacił jego poprzednikowi Junisbegowi. (Hammer str. 386 do 394.)

Ciekawości Gresera winniśmy rysy Strasza, bo kochając się w drzeworytach, pełno ich zamieścił w swojej książce, pomiędzy niemi i portret Strasza. Twarz to już niemłoda, brzydka, a do tego zepsuta jakąś dziwną naroślą od lewego oka do nosa, którą musiał mieć Strasz od urodzenia.

Z poselstwem cesarskiem go Carogrodu pojechał Albert von Wyss, Niderlandczyk. Siedział tam lat kilka, aż doczekał się nowych dwóch posłów w r. 1567, Antoniego Verantiusa biskupa Erlau i Krzysztofa Teuffenbacha. Cesarzowi przychodziło drogo opłacać pokój. Oprócz podarunków, które się z urzędu wszystkim rozdawało, ci nowi posłowie przywozili trzem wezyrom, każdemu po kilka tysięcy dukatów, jednemu więcej, drugiemu mniej, według stopnia. Strasz dostał wtedy 500 dukatów, a drugi tłumacz Porty, renegat niemiecki, Mahmud 300. (Hammer str. 513.) Była to zapłata za nowy, dogodniejszy dla cesarza traktat. Kiedy Verantius i Teuffenbach z powrotem się wybrali do Wiednia, pojechał znowu Strasz z niemi i powiózł dokument turecki. Jest opis całego tego poselstwa przez Marka Antoniego Pigafetta; dzieło to napisane po włosku, niesłychanie rzadkie, wyszło w Londynie. Nawet Niemcy nie posiadają go po swoich bibliotekach; egzemplarz jedyny znalazł Hammer w prywatnej bibliotece profesora Eichhorna. Niejeden tam pewnie szczegół znalazłby się o Strasz. (Hammer str. 517.) To pewna, że poseł nie był przyjmowany w cesarstwie tak, jak sobie tego życzył. Postawiono go raz w podróży w domu, w którym pokoje były bez szyb; potem gdzieś, zapewne w powrocie, dwie niewolnice mu przemocą zabrano. Skarżył się Strasz listownie o to cesarzowi. (Hammer str. 525.)

Ale sultan kazał mu tym razem wielką podróż odbywać po Europie. Posyłał go jeszcze z Wiednia do Wenecyi, do Francyi, do Polski z nowymi kapitulacyami.

Pewno w czasie jego nieobecności w Carogrodzie, w r. 1568, odbywał zwykle poselstwo od króla Zygmunta Augusta do Turcyi. Piotr Zborowski kasztelan wojnicki. 1go maja przybył do Carogrodu w orszaku 300 osób z wielkimi podarunkami. Polska peryodycznie w zakreślonych terminach odnawiała pokój z Turkami, i Zborowski przybywał również w tym celu. Ale zawsze były i postronne rzeczy do załatwienia. Tym razem skarżył się Zborowski na Multanów i Tatarów, oraz miał starać się o zmianę trzech artykułów starego rozejmu. Nie chciała Polska wydawać Turcyi zbiegów, płacić corocznego haraczu Tatarom i żądała żeby w Multanach nie osadzał sultan nigdy hospodarów, bez wspólnego porozumienia się z królem. Co do tego ostatniego żądania Polska wchodziła nawet w układy z Bogdanem, synem hospodara Aleksandra i chciała go jako przychylnego sobie na tronie utrzymać. Pozwolił sultan w lipcu 1568 r. na odnowienie pokoju z Polską, ale wszystkie trzy żądania odrzucił; wymógł nadto, żeby król uwolnił posła tatarskiego, już uwięzionego od lat trzech. Turcyja panowała wtedy w Węgrzech, w samej Budzie

siedział gubernatorem Mustafa pasza, który się dumnie pisał po królewsku: „Nos Mustafa Bassa divina providentia et caesaria clementia illustratus Budae et partium Regni Hungariae Gubernator Consiliarius.“ W takim położeniu rzeczy, siostrzeńcowi króla Zygmunta Augusta Z polskiemu w Siedmiogrodzie ciężko było. Gospodarów w Multanach i Wołoszczyźnie sultan rzucił za pierwszą oznaką gniewu. Zapolskiego na równi z nimi uważał. Posłany był raz do niego rozkaz, żeby się zachowywał spokojnie i nie zabił cesarzowi trzech zamków pogranicznych: Erdöd, Nagybanja i Zehwar. Mustafa pasza i książę Trautson żywe o te zamki prowadzili z sobą listowania. Ibrahim, kiedy z Wiednia wracał, przywoził pewne zwolnienia; cesarz się na jego skargi tłumaczył sultanowi. Z poselstwem Zborowskiego udał się do Polski Hassan czausz, odnoszący nowy rozejm. (Hammer str. 525.)

Pisze Paprocki, że Turcy przez Strasza „poselstwa wszystkie do Polski odprowadzali.“ Jednakże w dziejach naszych niema wzmianki o wielu poselstwach, jest tylko o jednym z r. 1569 do Zygmunta Augusta. Sultan Selim prowadzi wojnę z Iwanem Groźnym, wielkim księciem moskiewskim, zato że opanował dwa muzulmańskie państwa kazańskie i astrachańskie. Chciał go sultan od strony Polski zająć, nie tylko od Kaukazu i w tym to celu przyjechał Strasz do Polski w czasie sejmiku unii lubelskiej. Był więc przytomny obradom; prosił króla imieniem panującego, żeby przepuścił 30 tysięcy wojska tureckiego przez ziemie Korony polskiej do Moskwy. Ale król żadną miarą pozwolić na to nie chciał, owszem odpowiedział posłowi, że „wszystką mocą“ bronić tego będzie sultanowi. W jednych i tychże samych wyrazach donoszą o tym poselstwie Paprocki i Bielski, jeden więc drugiego tutaj przepisywał. (Herby, wydanie krakowskie nowe, str. 825 i Bielski u Gałęzowskiego str. 184.) Ale żaden z tych historyków nie wiedział o najważniejszym celu poselstwa, który umyślnie skrywano, bo pozornie to niby Turcyi chodziło o przepuszczenie przez koronne ziemie.

Portę niepokoiły sprawy węgierskie. Pogodziła się z cesarzem. Tymczasem Jan Zygmunt, królewicz węgierski, syn naszej Izabeli Jagiellonki i Zapolskiego, książę siedmiogrodzki, zabierał się do wojny z cesarzem, żeby Niemców z Węgier usunąć. Nie przepuszczałaby tego Porta królewiczowi, ale nie chciała narażać dobrych swoich od wieku stosunków międzynarodowych z Polską. Dlatego wysłany był Strasz, żeby porozumiał się z królem Zygmuntem Augustem i wpłynął na pokojowe rozwiązanie sprawy. Oczywiście królowi wiele chodziło o siostrzeńca. Niepodała mu się już dawno rady niespokojne a burzliwe młodego królewicza i pragnął spokoju na pograniczach węgierskich i tureckich rzpłtę; siedł w tym za podaniami ojca i dziada, którym nieraz z trudnością przychodziło pokój od strony Turcyi utrzymać. Zygmunt August wyprawił natychmiast poselstwo do Węgier z Jakubem Woronieckim, a do Turcyi wyprawił później eokolwiek Jędrzeja Taranowskiego, podówczas halickiego, człowieka „miernego wzrostu i nauki, wszelakoż przepiękności wielkiej i serca.“ (Paprocki, Herby str. 427.) Woronieckiemu instrukcyja pisana była 25 maja, Taranowski zaś wyjechał z Lublina w wigilią Bożego Ciała. Miał poseł do Turcyi, w odpowiedzi na żądanie Strasza, wyrazić sultanowi, „aby się nie ważył“ ziemią polską iść do Moskwy. Posłuchał Selim i „obawiając się gotowości królewskiej“, przez pustynie azyjskie wiodł wojska swoje do Astrachanu, ale nieszczerliwie, bo wielkie powietrze nagle przypało z głodu i z nędzy na to wojsko, i tak je wyniszczyło, że ledwie kto do Carogrodu powrócił.

Poselstwo swoje odprowadził w Polsce Strasz zaraz po przyjeździe Piotra Zborowskiego, kasztelana wojnickiego, który jeździł do Turcyi o nowe przedłużenie przymierza. Przywoził je Zborowski, ale pod warunkiem, żeby zapomniano z obudwu stron wzajemnych skarg i szkód, a czyniono tylko sprawiedliwość z nowych. Strasz przywoził także z sobą przymierze ze strony tureckiej, ale zapewne go poprzedził do Polski Hassan czausz. Poselstwo jednego i drugiego splecione bardzo w relacyi, niedawno wykrytę, którą królowi zdał Zborowski. Któryś z nich, poseł czy Hassan, przywoził aż cztery listy od sultana i Mehmet paszy królowi; w każdym skarżył się sultan na krzywdy swoich poddanych pogranicznych, a najwięcej na rycerskie najazdy Łaskiego pod Oczaków. Dowiadujemy się z jednego listu, że kupiec Mehmet Celebi (Celebiej Otwinowskiego) bawił wtenczas w Moskwie, dla skupowania potrzeb sultańskich i że go Iwan zatrzymywał.

Sultan pisał listy do króla i do Iwana, i te listy może przywoził Hassan; jeżeli nie wojsko, to przynajmniej poselstwo tureckie szło do Moskwy tym razem przez ziemię polską. W relacyi Zborowskiego jest „odpowiedź na odprawie posłowi cesarza tureckiego“, co się musi odnosić do Strasza; jest i odprawa czausza, który powracał z listem królewskim, pisanym z Warszawy w październiku 1568 r. W końcu tegoż roku, lub na początku 1569, mógł być w Polsce Strasz. (O tem poselstwie pisze Hammer jakby od niechcenia, str. 528.)

Tymczasem sultan Selim rozległe powziął zamiary względem sprzymierzeńców. Wyprawił tłumacza Mahmud beja do Francyi, swatać królową Małgorzatę z młodym Zapolskim. Aczkolwiek królowa sławną była i z piękności i z rozumu, nie była ta sultańska ofiara do odrzucenia. Zygmunt August schodził bezdzietny, można się więc było spodziewać, że Polacy powołają na tron królewicza węgierskiego, pana Siedmiogrodu; sultan obiecywał nawet, że go całym wpływem swoim poprze do korony. Nie doszło to małżeństwo do skutku, około którego pewno i Strasz chodził w Paryżu.

Spięrał się sultan o Cypr wtedy z Wenecją i za warunek do otrzymania pokoju z jego strony, kładł senatowi ustąpienie wyspy. Gratiani każe z tego powodu drugi raz odbywać Straszowi poselstwo do Wenecyi, ale niesprawiedliwie, bo inne źródła wskazują, że jeździł o Cypr do Wenecyi towarzysząc Straszowi w urzędowaniu Mahmud bej, tłumacz, a potem czausz Kubad. (Hammer str. 567.)

Tutaj kres działań Strasza dla dobra Turcyi. 9go czerwca 1571 r. umarł, zapewne w Carogrodzie, bo Hammer i tego szczegółu nie podaje. „Dzieje państwa tureckiego“ tego autora nie w jednym miejscu nie zaspokajają oczekiwania. Nazwalibyśmy pracę Hammera dziejami rozwijania się potęgi tureckiej, historią dyplomacyi sultanów, ale nawet i pod tym ostatnim względem Hammer jeszcze niedokładny. O poselstwie np. Strasza do Francyi mówi tylko z okoliczności. Kiedy sultan posyłał Mahmuda o królową Małgorzatę dla Zapolskiego, Hammer robi uwagę, że to drugie było poselstwo jednego roku do Francyi; bo pierwsze odbywał „der Pohle Strazzeni.“ (str. 528) I nie więcej. Gdyby nie ta, nie wiemy jak ją nazwać, oszczędność, czy niezręczność historyka, zapewne więcej byśmy o Strasz wiedzieli. Pochwała tureckiego patriotyzmu naszego renegata zapisana u Hammera, że był to wróg chrześcijaństwa i cesarstwa, perniciosissimus, insidiosissimus et versutissimus, nieusprawiedliwiona niczem w dziejach Hammera, w których Strasz prawie nie widać. Jest wzmianka, że jeździł na poselstwo, ale co znaczył w radzie tureckiej, i jakie były jego wpływy? niewiadomo. Z okoliczności także dowiadujemy się, że go poseł francuzki Lavigne zwał, i że go Busbek przywrócił do urzędu. Kiedy i za co gniewał się na Strasz Lavigne, Hammer nie powiada. Pod tym względem chociaż szczerze znajdujemy wiadomości w naszych źródłach o Strasz, przecież i ten zasób szczegółów, jakieśmy w nich znaleźli, nierównie bogatszy od zasobu Hammera. Otwinowski więcej daje nam zajrzeć w głąb tej zgubionej duszy chrześcijańskiej, jak poważny historyk państwa, który z urzędu powinien był charakter i działanie Strasza lepiej określić. Może Strasz pałał nienawiścią tylko do cesarza niemieckiego, ale nie do chrześcijańskich osób, może czuł nad niedolą Węgrów, bo co z Polską to lepiej wychodził. W każdym razie więcej, jak nam się zdaje, był to człowiek szukający w stosunkach z Niemcami korzyści osobistej i z tego stanowiska potrzeba uważać na zdanie o nim Niemców społecznych. Wrogiem szalonym cesarstwa i chrześcijaństwa nazywa Strasz von Wyss poseł niemiecki. (Hammer str. 790.) Nie sposób więc, żeby w archiwach cesarstwa nie znalazły się dowody na usprawiedliwienie tej nazwy. Wiemy także z Hammera, że miejsce Strasza, jako najwyższego tłumacza Porty, zajął Mahmud, który później, przy wybuchu wojny z Wenecją, pojmany był przez cesarskich i w Weronie trzymany.

Ponieważ pierwszą wiadomość o Strasz mamy z roku 1551, ostatnią zaś z roku 1571, przeto lat 20 przeszło Porcie służył.

Paprocki ostatnią nam wiadomość zostawił, pisząc o Strasz: „zostawił tam (w Turczach) tylko jedną córkę.“ Świadczy to przyjąć można, bo jest społeczne. Życie Gresera, które nam zachowało pamiętkę poselstwa Strasza do Frankfurtu i jego rysy, już musiało wyjść po śmierci Ibrahima w r. 1587 w 4ce. Strasz nie dożył pewno tego wieku do Kierdej.

Julian Bartoszewicz.